1	[illegible]dyracz	Komedia	81
2	Małżeństwo w Rozwodzie	Komed.	81
3	Dziwaczny Kapitan	Komed.	81
4	Dziewczyna Szewca	Komed.	81
5	Miłość odnowiona	Kom.	81
6	Doktor Lubelski	Komed.	81
7	Sierota Chińska	Tragedia	81
8	2 Strzelcow y Mleczarka	Opera	81
9	Antygon	Opera	81
10	[illegible] Sawoiow	Opera	81
11	Cnota w przeciwieństwie	Drama	81

Tom XVI

GDYRACZ

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH

NA TEATRZE

WARSZAWSKIM

REPREZENTOWANA.

Antº. Wrzosławski



W WARSZAWIE

w Drukarni P. Dufour, Drukarza J. K. MCI

y Rzeczypospolitey.

M. DCC. LXXXI.

O S O B Y.

G D Y R S K I, Doktor.

L E A N D E R, ſyn Gdyrſkiego.

H O R T E N S I A, còrka Gdyrſkiego.

A R Y S T, brat Gdyrſkiego prawnik.

K L A R Y S S A, kochanka (Leandra, } corka Staruſzkiewicza, ktòry w ſcenę nie wchodzi.

M O N D O R, amant Hortenſyi.

J A S, mały ſyn Gdyrſkiego.

P E D A N C K I, dyrektor.

D O R O T K A, ſłużąca Hortenſyi.

J A D W I S I A, ſłużąca Klaryſſy.

M A R C I N, ſługa Gdyrſkiego.

F A S C Y K U L S K I, prawnik.

L O K A Y, Gdyrſkiego.

S K R Z Y P E K, od tancmiſtrza.

Scena w domu Gdyrſkiego.

GDYRACZ
KOMEDYA.

AKT I.

SCENA I.

LEANDER, HORTENSYA.

LEANDER.

ALE z iakich przyczyn ta zwłoka, moia siostro?

HORTENSYA.

Dowiemy się, iak nasz ociec powròci z miasta.

LEANDER.

Ale to prędzey wiedziećby potrzeba.

HORTENSYA.

Wszak WPan po to posłałeś Marcina do naszego stryia? ia także posłałam Dorotkę do Klaryssy; nie zabawem powrocą, czekaymyż na nich.

LEANDER.

Długoż bo się bawią. A dla mnie tak przykra ta niepewność....

HORTENSYA.

Otoż iuż idzie Dorotka.

SCENA II.

LEANDER, HORTENSYA, DOROTKA.

LEANDER.

CZEGOŻ się dowiedziałaś u Klaryssy?

DOROTKA.

Panna Klaryssa ieszcze nie wstała, a Pan Staruszkiewicz iey ociec wyszedł z domu, ale....

HORTENSYA.

Co ale?

DOROTKA.

Czy nie poznaiesz WPanna z moiey miny, że im dobre przynoszę nowiny?

HORTENSYA.

Jakież, moia Dorotko?

DOROTKA.

Oboie WPaństwo będziecie ożenieni, a to ieszcze dziś w wieczor. Cały dom Pana

Staruſzkiewicza krząta ſię około zachodu weſelnego.

HORTENSYA.

A co? albom ci nie mòwiła, braciſzku?

LEANDER.

Wſzelako ia ſpokoynym bydź nie mogę, poki ſię nie dowiem od ſamego oyca naſzego, przeco to weſele wſtrzymano wczora.

HORTENSYA.

Pòdźże ſię dowiedz, czy ociec naſz nie powrocił?

DOROTKA.

Ba, powrocił. Albożby ſię nie dał uſłyſzeć? Czyż choć na moment przeſtaie hałaſować, gdyrać, piorunować, kiedy ieſt u ſiebie? ſąſiedzi nawet, czyż nie wiedzą zaraz, gdy wychodzi lub powraca?

HORTENSYA.

Przynaymniey dziś pomagay nam dobrze. Cokolwiek bądź, umyśliliśmy mu dogodzić we wſzyſtkim.

DOROTKA.

Jemu dogodzić? Wielkiey do tego potrzeba ſpoſobności. Przyznaycie WPańſtwo ſami, iak wielki chimeryk ich ociec.

HORTENSYA.

Jak ieſt, tak ieſt, powinniśmy go znoſić.

DOROTKA.

Naycierpliwſzy ſługa od wielkiey bidy, ieśli tydzień wytrzymać może. Kiedy nam potrzeba iakiego domownika, ani myśleć o tym, żeby go doſtać w ſąſiedztwie; trzeba ſię udać w naydalſze okolice, gdzieby nie ſłyſzano nawet o nazwiſku Pana Doktora Gdyrſkiego. Jaſio, braciſzek WPańſtwa, choć tak ukochane ſwoiego oyca dziecko, iuż trzech miał w tym mieſiącu dyrektorow, przeto tylko, że go nie tyle, ile on chciał, ćwiczyli. Ja ſama, gdyby nie moie do W. Panny przywiązanie, czy mogłabym tak długo wytrzymać?... Ale oto i Marcin.

SCENA III.

MARCIN, LEANDER, HORTENSYA, DOROTKA.

LEANDER.

COż ci naſz ſtryi powiedział?

MARCIN.

Nayprzod pytał mnie, ieżeli ociec Pańſki, ktoremu od niego byłem zarekomendowany, kontent ze mnie. Odpowiedziałem na to, że ia nie ze wſzyſtkim ieſtem kontent z niego, i że, ſłużywſzy mu dwa dni dopiero, daley wytrzymać nie mogę.

LEANDER.

Ale mòy bracie, porzuć to, a powiedz mi raczey, ieżeli Pan ſtryi nie wie przyczyn, dla ktòrych moie z Klaryſſą małżeńſtwo odwlekło ſię?..

HORTENSYA.

A moie z Mondorem?

MARCIN.

Właśnie też o tym chciałem mòwić.

DOROTKA.

Mówże prędzey.

MARCIN.

W tym momencie, gdym ſię o WPańſtwa wywiadywał intereſſie, wſzedł ociec Klaryſſy, i przerwał mi mowę z ich ſtryiem.

LEANDER.

Nic zatym nie dowiedziałeś ſię?

MARCIN.

Y owſzem, bardzo wiele. Słuchaycie W. Pańſtwo. Skoro wſzedł ociec Klaryſſy, natychmiaſt oba poſzli na uſtronie, kazali mi ſię oddalić, i zaczeli gadać tak cicho, żem nic nie ſłyſzał.

DOROTKA.

Taką rzeczą, dowiedziałeś ſię wiele!

MARCIN.

Więcey, niż waść rozumieſz.

LEANDER.

A iużci, ſkoro cicho gadali, nic nie możeſz wiedzieć?

MARCIN.

W tym też to ſztuka.

HORTENSYA.

Chyba ci moy ſtryi, lub kto inny, powiedział po odeyściu Pana Staruſzkiewicza.

MARCIN.

Bynaymniey.

DOROTKA.

Ale, mòy kochany, iakże ty możeſz wiedzieć?

MARCIN.

Tylko proſzę o cierpliwość. Jeſzcze W. Państwu nie wſzyſtkie moie wiadome ſą talenta. Bywa poſpolicie, że Panowie, maiąc co do mòwienia ſekretnie, wyſtrzegaią ſię ſług ſwoich. Ja w czaſie uſtawicznego ſłużenia moiego, wſzyſtkie na to ſtarania, i cały mòy łożyłem dowcip, aby one badać, i domyślać ſię.

DOROTKA.

Kaci nadali pułgłowka.

MARCIN, *do Dorotki.*

Tak, tak, uczyłem śię badać śekreta, i tyle w tym dokazałem, że gdy dwie osoby, których mi cokolwiek wiadomy iest interes, rozmawiaią z sobą, bylem tylko widział ich twarze, założyłbym śię po ich obliczu i gestach, zgadnąć to wszystko, o czym, i iak mowią.

DOROTKA.

Czysty waryat!

LEANDER, *z niecierpliwością.*

Czegoż śię nareszcie dowiedziałeś?

MARCIN.

Ze WPaństwa interessa odmieniły śię.

HORTENSYA.

Z kądże ta pewność?

MARCIN.

Nayprzod z tąd, że Pan Staruszkiewicz nie chciał przy mnie mówić z Panem Arystem-stryiem WPaństwa...

LEANDER.

Ah! moia śiostro, wielkie do tego iest podobieństwo.

MARCIN.

Nie dość na tym. Ledwie ociec Klaryssy otworzył usta, stryi WPaństwa tak mu odpowiedział. Proszę uważać. (*czyni gesta człowieka zadziwionego i rozgniewanego.*)

DOROTKA.

Cóż to ma znaczyć?

MARCIN.

Alboż nie widzisz? Przecież ta rzecz iasna, iak słońce na Niebie. Wiem, że mnie Jegomość dobrze zrozumiał.

LEANDER.

Bardzo mało.

MARCIN.

Y Imość także.

HORTENSYA.

Nic zgoła.

MARCIN.

Zaraz to WPanstwu wyexplikuię. Kiedy Pan stryi te czynił gesta (*powtarza też same gesta.*) domyślać się potrzeba, że był ździwiony i rozgniewany tym, co im Pan Staruszkiewicz powiedział. Akcya ta, czyż sama przez się nie gada? Czyż mogł temi gestami co innego mòwić, iakto. *Co zas? WPan odmieniłeś swoie przedsięwzięcie? Co słyszę? czy podobna?*

LEANDER.

Coż na to odpowiedział Pan Staruszkiewicz?

MARCIN.

Odpowiadał mu tak (*udaie człowieka exkuzuiącego się.*)

DOROTKA.

Cóż maią znaczyć te miny?

MARCIN.

Co te, to są trocha oboiętne i nie dość iasne.

DOROTKA.

Owszem, aż nadto iasne.

MARCIN.

Kiedy iasne, powiedz co znaczą

DOROTKA.

No, no, iakeś zaczął, tak dokończ.

MARCIN.

Ta akcya może znaczyć wymawianie się z tego, że musiał swoy odmienić zamysł. Patrzcie WPaństwo: *bardzo tego żałuię, nie mogłem inaczey uczynić, tak chciał Pan Gdyrski.* Albo też może ieszcze i to znaczyć: że nieprzytomność Pana Mondora iest przyczyną zwłoki wesela.

DOROTKA.

Y ty taką znayduiesz odpowiedź w tych gestach?

MARCIN.

Założyłbym się, że tak iest co do słowa.

DOROTKA.

A ia WPaństwu powiadam, że on brydzi sam nie wie co, i że to żadną miarą być nie może. Klaryssa iest iedynaczka u Pana Staruszkiewicza, Pan Staruszkiewicz czło-

wiek ſzlachetny, zacny, bogaty i przyiaciel WPaństwa oyca. Mondor także młodzieniec, znakomity, maiętny i dobrze urodzony, małżeństwa waſze od dnia wczorayſzego ſą ułożone, słowo dane, intercyzy ſpiſane, i tylko braknie podpiſow. Sam nie wie, co gada.

MARCIN.

Przecież ia nie rozumiem, żebym ſię miał pomylić.

DOROTKA.

Wſzakżeś nic nie słyſzał?

MARCIN.

Ale widziałem. Geſta ludzkie więcey maią daleko w ſobie pewności, niż słowa.

LEANDER.

Bardzo ſię boię, żeby Marcin nie zgadł.

DOROTKA.

WPaństwo zaſtanawiacie ſię nad przywidzeniem iednego świſzczypały, a nie chcecie wierzyć mnie, ktora właſnemi memi oczyma widziałam przygotowania weſelne.

MARCIN.

A kto wie? ieśli czaſem te ſame przygotowania nie odraziły Pana Gdyrſkiego? Wſzak wieſz, iaki on ma wſtręt od tego, co ſię nazywa ucztą, ochotką, kompanią,

rozrywką; słowem, od tego wszystkiego, co może zabawić.

HORTENSYA.

Cożkolwiek bądź, porob to wszystko, co ci nasz ociec wychodząc z domu zalecił, ażeby za powrotem nie miał zgoła gniewać się o nic.

(Marcin odchodzi.)

DOROTKA.

Z panem Bogiem tłumaczu nieszczęść. Pòydź raczey wykładay grymasy naszey małpy.

SCENA IV.

LEANDER, HORTENSYA, DOROTKA.

LEANDER.

Żeby się to tylko nie sprawdziło, co powiadał Marcin.

DOROTKA.

Przyznałżeś się WPan oycu, że kochasz Klaryssę?

LEANDER.

Bynaymniey. Owszem ociec rozumie, że się kocham w Elizie còrce Pana Recepty

Doktora, ktòrego nie wielkim ieſt przyiacielem. Aby go w tym zoſtawić błędzie; gdy mi wczora wſpominał o zamężciu Klaryſſy, udałem, że ſię z ciężkością na to odważam.

DOROTKA.

Przedziwnieś ſobie w tym poſtąpił.

HORTENSYA.

Ani o tym wie, że kocham Mondora. Rozumie nawet, żem go nigdy nie widziała, tak, iak mo'y ociec go nie widział: ponieważ Mondor zawſze niemal ſiedzi przy regimencie.

DOROTKA.

Tym lępiey, tym lepiey. Nie pokazuycież tego po ſobie, broń Boże, żeście z tych partyi konteńci. Duchy takie, iak iego, opaczne, nigdy tego nie chcą, co ſię drugim podoba: na co ſię drudzy wzdrygaią, to dla nich lube.

HORTENSYA.

Słyſzę kołatanie, a ieſzcze iakieś mocne. Zobacz, Dorotko, kto tam.

DOROTKA.

Zapewne Pan Gdyrſki: (*idzie ku drzwiom patrzyć.*) Chwała Bogu, że nie. Stryi WPańſtwa.

SCENA V.

ARYST, LEANDER, HORTENSYA, DOROTKA.

LEANDER.

Coż tam, Mości ſtryiaſzku, iak idą naſze intereſſa?

ARYST.

Zle bardzo.

LEANDER.

O nieba!

HORTENSYA, uſtraſzona.

Zle idą?

ARYST.

Ociec waſz, tuż za mną idzie. Schrońcie ſię czym prędzey. Chcę z nim ſam na ſam pomowić, i naprowadzić go na dobrą drogę. Spuśćcie ſię na mnie.

LEANDER.

Ah! ſtryiaſzku, gdyby można....

ARYST.

Prędzey, prędzey, wychodźcie, i u ſiebie na mnie czekaycie. Co ſię tu ſtanie, wſzyſtko wam opowiem... Wyidźcież prędko, bo iuż idzie.

DOROTKA.

Oho! iuż go słychać. Będzież tu rewolucya, będzie. Jak kto może, nogi za pas.

SCENA VI.

GDYRSKI, MARCIN, ARYST.

GDYRSKI.

JAko! ty złodzieiu, niecnoto, piiaku! zawszeż po dwie godziny będę stał przededrzwiami, nim mi ie odemkniesz?

MARCIN.

Gracowałem, Mości Dobrodzieiu, w ogrodzie, i za pierwszym zapukaniem, pobiegłem tak prędko, żem kilka razy upadł.

GDYRSKI.

Zebyś był kark skręcił, hultaiu... Czemuś nie zostawił drzwi odemkniętych?

MARCIN.

Wszak Pan wczora właśnie mię za to połaiał, że były odemknięte. Czy odemknięte, czy zamknięte, WPan Dobr: równie gniewasz się. Nareszcie, nie wiem co robić.

GDYRSKI.

Co robić?

ARYST.

Mòy braciszku pozwolisz mi....

GDYRSKI.

Dayże mi WPan mówić. Co robić?

ARYST:

ARYST.

Ale przebog żywy! zaniechay WPan tego człowieka, i chciey posłuchać.

GDYRSKI.

Ale przebog żywy! kiedy ty bracie łaiesz sług swoich, czy ci przeszkadzam?... Dayże i mnie pokoy!... Co robić?

ARYST.

Trzeba mu pozwolić cokolwiek czasu, żeby się ukołysał w tym wzruszeniu.

GDYRSKI.

Co robić hultaiu?

MARCIN.

Jakże! kiedy Pan wyidzie z domu, czy mam zamykać bramę?

GDYRSKI.

Nie.

MARCIN.

Nie zamykać?

GDYRSKI.

Nie, obwiesiu.

MARCIN.

Jakże? przymknąć a nie zamknąć?

GDYRSKI.

Jeszcze mi będziesz mędrkował, piiaku?

ARYST.

Przecież, zdaie mi się, moy bracie, że ten człowiek nie od rzeczy gada. Prawdziwie to powinno cieszyć, kiedy kto ma rostropnego sługę.

GDYRSKI.

A mnie się, Panie bracie, zdaie, że sam nie wiesz co bzdurzysz. Miło iest prawda, mieć sługę rostropnego, ale nie sługę mędrkuiącego.

MARCIN.

Złości mię na to biorą, że mam rozum.

GDYRSKI.

Będziesz ty milczał, poganinie?

MARCIN.

Wolno Panu ze mną postąpić iak się podoba, a ia przy swoim upieram się; albo brama ma być odemknięta albo nie? Proszę mi ostatecznie i wyraźnie powiedzieć.

GDYRSKI.

Mowiłem to tobie nie sto razy, paliwodo.. Chcę i każę... każę... Ale patrzcie no tego trutnia! Sługa Pana ma zagadywać!. Jak cię pochwycę za łeb, a zacznę kiiem łamać kości, zaraz mi się dowiesz, czego chcę... WPan się na to podobno śmieiesz Mospanie kauzyperdo!

ARYST, pokrywaiąc śmiech.

Bynaymniey mòy bracie. Wiem ia dobrze, że ſłudzy nigdy tak nie robią, iak im Panowie każą.

GDYRSKI.

Przecież to WPan, nie kto, zarekomendowałeś mi tego darmoziada.

ARYST.

Rozumiałem, że dobrze czyniłem.

GDYRSKI.

O! *rozumiałem*, *rozumiałem*. Naucz że ſię, Panie śmieſzku, że to, *rozumiałem*, nie ieſt mową roſtropnego człowieka.

ARYST.

No, daymyż iuż temu pokoy, pozwol mi WPan pomowić z ſobą o intereſſie ważnieyſzym, ktòry radbym iak nayroſtropniey...

GDYRSKI.

Nie, Moſpanie. Chcę cię naypierwey przekonać, iak mi ten niepoczciwy ladaiako ſłuży, abyś mi uſtawicznie nie wymawiał, że ſię gniewam bez przyczyny. Zobaczyſz ſam natychmiaſt. Zamiotłeś ty piiaku ſchody?

MARCIN.

Nie tylko ſchody, ale i pod ſchodami.

GDYRSKI.

A podworze?

Bij

MARCIN.

Jeżeli Pan naymnieyſze zdbło znaydzie, wolno mi potrącić w mycie.

GDYRSKI.

Czemu nie napoiłeś moiey wierzchowey klaczy?

MARCIN.

Wolno popytać ſąſiadow, ieśli nie widzieli, żem ią nawet pławił, nie tylko poił.

GDYRSKI.

Dałeś iey obrok?

MARCIN.

Dałem, widział Bartłomiey.

GDYRSKI.

A ten trunek Wideńſki i Chinchina, ſąż tam odnieſione? gdziem ci kazał ie zanieść.

MARCIN.

Już może do tych czas i roſoł piie ta Pani ſtaruſzka.

GDYRSKI.

A liſty odnioſłeś na pocztę?

MARCIN.

Więcey od godziny.

GDYRSKI.

Mowiłem ci mało ſto razy, żebyś mi nie rypał na tych przeklętych ſkrzypcach twoich,

iednakże dziś rano, rozumiałem, że cała, łaia psow wyła mi nad głową.

MARCIN.

Dziś rano? A nie pamięta Pan otym, że mi moie skrzypce w kawałki potłukł wczora.

GDYRSKI.

Założyłbym się, że te dwie fury olszyny..

MARCIN.

Już są złożone na swoim mieyscu. Co większa, procz tego, pomogłem ieszcze Bartłomieiowi złożyć furę siana pod strych, popodliwałem zioła, umiotłem ogrodowe chodniki, skopałem dwie grzędy, i właśnie zaczynałem trzecią, kiedy Pan zakołatał.

GDYRSKI.

Darmo, muszę tego prożniaka wypędzić z domu. Nie pamiętam, żeby mi ktory służący tyle dawał okazyi do gniewu. Fort z domu mego, ani mi się pokazuy więcey na oczy.

MARCIN, *nastronie.*

Co mu się stało! Jakiegoś bardzo kwaśnego ziadł diabła.

ARYST, *z politowaniem.*

Wyidź, mόy kochany.

SCENA VII.

GDYRSKI, ARYST.

ARYST

PRAWDZIWIE, moy bracie, dziwny W. Pana humor. Jak widzę nie przyimuieſz ſług dla uſługi, ale tylko, żebyś miał na kogo gderać?

GDYRSKI.

Otoż go macie gadułę.

ARYST.

Chceſz WPan odegnać Marcina za to, że robiąc wſzyſtko, co każeſz, i ieſzcze nadto, nie daie ci pochopow do gniewu: albo raczey gniewaſz ſię o to, że nie maſz, o co gniewać ſię.

GDYRSKI.

Daley, daley Moſpanie adwokacie. Wyſtaw ſobie, że ſtoiſz za ſtolikiem do indukty; nicuy moie poſtępki, wglądąy w nie, bardzoś oto proſzony.

ARYST.

Moy bracie, nie po to tu przyſzedłem, lecz gdy tu ieſtem, gdy patrzę na WPana chimery, nie mogę mu ubliżyć tego, które mam nad nim, politowania. Mimo wſzyſtkie przyczyny do ukontentowania,

czyż można, ustawicznie gniewać się, gdyrać, wrzeszczeć....

GDYRSKI, *wrzeszcząc.*

Otoż tak chcę, tak mi się podoba.

ARYST.

Trochę ciszey, moy bracie. Wszystko się WPanu wiedzie pomyślnie, zdrow iesteś, Bog ci dał dzieci, uwolnił od żony: przecież mimo to, nie widać na twarzy WPana tey spokoyności gospodarza, którą udzielać należy całemu domowi. Dręczysz się ustawicznie, dręczysz i tych, ktorzy z tobą żyć muszą.

GDYRSKI.

Gdzieżeś się to, moy Panie, tak wymownego nauczył kazania? Taką rzeczą podług WPana ia mam być człowiekiem nieuczciwym?

ARYST.

Ktoż to mowi?

GDYRSKI.

Nie iestem, zdaie mi się, ani oszust, ani sknera, ani łgarz, ani chciwy, ani nareście taki, iak waść, gaduła.

ARYST.

To prawda. Nie masz WPan żadney z tych wad wyśmiewanych dotąd na Teatrach, ktore zwracaią na siebie oczy wszystkich, ale

za to masz iednę, ktòra truie całą przyiemność życia, i bardziey dokucza w społeczności, iak wszystkie inne: bo na reszcie można niekiedy żyć w zgodzie z oszustem, z łakomcą, z człowiekiem nie rzetelnym, ale nie można mieć iednego momentu spokoyności z temi, których nieszczęśliwe przyrodzenie zawsze w gniew unosi, ktòrych iedno nic rozgniewa, którzy fatalną iakąś czuią roskosz w ustawicznym gderaniu i hałasach.

GDYRSKI.

Prędkoż WPan przestaniesz moralizować? Pewnie mi nie dałeś i teraz okazyi do gniewu?

ARYST.

Owszem, przestaię. Zaniechaymy tey sprzeczki. Powiedziano mi, że WPan myślisz dziś żenić się?

GDYRSKI.

Powiedziano, powiedziano. Co komu do tego, i kto to iest ten *powiedziano*?

ARYST.

Zapewnie ci mòwili, których to interessuie.

GDYRSKI.

Obeydę się bez nich. Cały świat pełen iest tych interessuiących się nawiasem Ichmościow, ktòrzy w rzeczy samey tyle o nas dbaią, co pies o piątą nogę.

ARYST.

Jak widzę, z WPanem mowić w żaden ſpoſob nie można.

GDYRSKI.

Więc milczeć.

ARYST.

Ale dla dobra ſamegoż WPana znalazłoby ſię co do mowienia.

GDYRSKI.

Więc mowić.

ARYST.

Dnia wczorayſzego umyśliłeś WPan ożenić bardzo dobrze ſwoie dzieci.

GDYRSKI.

Być to może.

ARYST.

Oboie było powolnę na iego żądania.

GDYRSKI.

Niechby no nie.

ARYST.

Wſzyſcy pochwalili ten wybor.

GDYRSKI.

Właśniem oto dbał wiele.

ARYST.

Dziś bez żadney przyczyny, odmieniłeś zupełnie ſwoie przedſięwzięcie.

GDYRSKI.

Albo mi nie wolno?

ARYST.

Obiecawſzy Hortenſyą dla Mondora, dziś ią chceſz wydać za Mazepſkiego, ktòry inney za ſobą nie ma zalety, procz tey, że ieſt ſzwagrem Pana Staruſzkiewicza.

GDYRSKI.

Y coż to WPanu ſzkodzi?

ARYST.

A z Klaryſſą, zamowioną dla ſyna, ſam chceſz ſię żenić?

GDYRSKI.

Tak ieſt zamowioną. Niech ſię iey ſpodziewa.

ARYST.

Pewnie te WPana kroki chwalone będą?

GDYRSKI.

A WPan zapewne rozumieſz, że ia oto dbam wiele, czy będą pochwalone, czy naganione?

ARYST.

Przecież...

GDYRSKI.

O! *przecież*, *przecież*. Przecież każdy tak czyni, iak mu ſię podoba. Jeſtem Panem ſiebie i moich dzieci,

ARYST.

Nie przeczę temu, ieſt iednak wiele rzeczy, których przyzwoitość czynić nie dozwala. Bo ieżeli....

GDYRSKI.

O! *ieżeli, bo, ale, przecie*. Tere fere, nie potrzebuię rad Waścinych, i iużem ci to nie ſto razy powiedział.

ARYST.

Jednakże, gdy ſię WPan cokolwiek zaſtanowić zechceſz....

GDYRSKI.

Czy ieſzcze dłuższa ma być exorta?... Więc nie zdaie ſię WPanu, abym ſię żenił z Klaryſſą?

ARYST.

Lękam ſię mocno, żebyś tego nieżałował potym.

GDYRSKI.

Przyzwoicieyby może było, żeby poſzła za Léandra?

ARYST.

Bez wątpienia, równość ich wieku naywięceyby WPana przekonać powinna.

GDYRSKI.

Ani to zdaie ſię WPanu, abym Hortenſyą wydał za Pana Mazepſkiego?

ARYST.

Wſzak to *re & nomine* mazepa. Zobaczyſz, żę cörkę nieſzczęścia nabawiſz.

GDYRSKI.

Nieſzczęścia nabawię? tak WPan mowiſz? Więc rozumieſz, moy bracie, żebym lepiey zrobił, gdybym pierwſze moie uiścił zamyſły?

ARYST.

Zapewne.

GDYRSKI.

Y umyślnie z tym przyſzedłeś do mnie?

ARYST.

Mniemałem to być moim obowiązkiem, dla ſpokoyności WPana familii.

GDYRSKI.

Przedziwnie. Te więc ieſt WPana zdanie?

ARYST.

Przynaymniey z wewnętrznego mowię przekonania.

GDYRSKI.

Tym lepiey. Ponieważ ſię WPanu tak zdaie, przeto ſamo mnie ſię inaczey zdawać będzie: i miło mi zerwać dwa małżeńſtwa, a drugie dwa ſkoiarzyć, umyślnie na złość WPanu...

ARYST.

Ale przebóg żywy! przecie ſię zaſtanow bracie...

GDYRSKI.

Y zaraz idę w tym intereſſie, do Pana Faſcykulſkiego moiego plenipotenta.

ARYST.

Ale moy bracie!

GDYRSKI.

Moy bracie, moy bracie... Kłaniam.

SCENA VIII.

JAS, GDYRSKI, ARYST, DOROTKA.

DOROTKA.

Mości Dobrodzieiu, Jaś ſzuka WPana Dobrodzieia.

GDYRSKI.

Czegoż chce ten bęben.

JAS.

Mości tatulu Dobrodzieiu, napiſałem dziś moią lekcyą, bez żadney omyłki. Patrz WPan Dobrodziey.

GDYRSKI, rzucaiąc mu w oczy ſextern.

Nie mam teraz czaſu, day mi pokoy.

JAS.

Moy Mości Dobrodzieiu choć też ſpoyrzyi WPan Dobrodziey.

GDYRSKI.

Ale mòwię tobie: że nie mam czasu.

JAS.

Wszak to naywięcey chwila....

GDYRSKI.

Ale nie mam okularow.

JAS.

Ja sam będę czytał.

GDYRSKI.

Co za uprzykrzone dziecko.

ARYST.

Czemuż mu nie dogodzić, kiedy się z swoią chce popisać applikacyą.

JAS.

Przeczytam nayprzod po Polsku, a potym połacinie. *Ludzie*... Przynaymniey ta łacina, nie iest tak zawiła, iak była wczorayssza. Zobaczysz WPan Dobrodziey, że wszystko zrozumiesz.

GDYRSKI.

Zeby licho porwało tego bębna.

JAS, *czyta.*

Ludzie, ktòrzy się nie rozśmieią nigdy, a raczey zawsze gdyraią, są podobni do tych srogich bestyi, ktòre..........

GDYRSKI, *wycina mu policzek.*

Otoż maſz beſtyo!... Pódź powiedz ſwemu oſłowi dyrektorowi, niech ci inſze zadaie lekcye.

DOROTKA, *na ſtronie.*

Biedne dziecko!

ARYST, *na ſtronie.*

Sliczna edukacya!

JAS, *ze złośliwym płaczem.*

Dobrze, dobrze. WPan Dobrodziey biieſz mnie za to, że ſię dobrze uczę, nie będęż ſię odtąd uczył.

GDYRSKI.

Milcz chłopcze, milcz...

JAS.

Niech piorun ſpali, i kſiąſzki, i łacinę!

GDYRSKI.

Co ty mówiſz, co ty mówiſz... niecnoto?.. poczekay, poczekay.

JAS.

Tak, poczekam, poczekam. Oto za moy policzek (*rozdziera ſextern.*)

GDYRSKI.

Ah! złośnik przeklęty!.. Co ia widzę! co ia widzę! rozek, rozek.

JAS.

Tak rozek, rozek. Jutro o tym czaſie. To ſamo zrobię z gramatyką i ze wſzyſtkiemi kſiążkami, niech ie wſzyſtkie kaduk porwie odemnie.

GDYRSKI.

Co za niegodziwy! co za przeklęty! co za nie czy chłopiec! codzień to bardziey na złe używa moiey dobroci.

DOROTKA.

Kubek w kubek, tatulo wykapały!.

GDYRSKI.

Co ty mòwiſz?

DOROTKA.

Mowię, że Jaś wyſzedł w złości cały.

GDYRSKI.

A tobie, co do tego, Mościa panno wſzędywścibiſka?

ARYST.

W rzeczy ſamey, poco ſię w to mięſzaſz Dorotko! Pan brat ma racyą.

GDYRSKI.

Otoż nie mam racyi.

ARYST.

Jak się nareście podoba. Ale powroćmy raczey, bracifzku, do nafzego intereffu, o ktòrym mowiliśmy.

GDYRSKI.

Nie mam czasu. Idę do mego Plenipotenta. Kłaniam. Czegoż znowu chce ten osioł.

SCENA IX.

PEDANCKI, GDYRSKI, ARYST, DOROTKA.

PEDANCKI.

MOści Dobrodzieiu....

GDYRSKI.

Coż tam? mowże, Mości Dobrodzieiu. Właśnie w zły czas wybrałeś się do mnie moy Mości Dobro: Pòydź orzniy rozgą Jasia.

PEDANCKI.

Obić Jasia? Jaś *abiit, effugit, erupit.*

GDYRSKI.

Co! Jaś uciekł?

PEDANCKI.

Effugit.

GDYRSKI.

Ci ſzkolarze zawſze muſzą margać łaciną. Mow po Polſku, kiedy umieſz, móy bracie, albo podź mi z oczòw.

PEDANCKI.

Kiedy ſię tak podobało, *ſit pro ratione voluntas.*

GDYRSKI.

Jeſzcze łacina! ale do wſzyſtkich diabłów mòw po Polſku, ieśli umieſz.

PEDANCKI.

Niechże i tak. Czytamy w Senece....

GDYRSKI.

Ale co ma waścin Seneka do ucieczki Jaſia?

PEDANCKI.

Nareſzcie, kiedy Pan chce, żebym z nim mówił po polſku, powiem bez ogrodki, żeś bardzo porywczo dał policzek moiemu uczniowi. Karanie ieſt potrzebne, *concedo.* Ale też nic nie ma gorſzego nad to karanie porywcze, i bez żadney przyczyny, gdyż zamiaſt proſtowania umyſłu, raczey go kazi i oburza... Surowość rodzicow i nauczycielow, iak mòwi Seneka.....

GDYRSKI.

A zawſze ten Seneka!.. Zapalona głowo, pòdź do ſtu katow z ſwoim waryatem Se-

neką, ani mi się nawiiay na oczy, ieśli nie będzie Jasia.

PEDANCKI.

Ale Mości Dobrodzieiu ....

GDYRSKI.

E, e, e, Mości Dobrodzieiu, Mości Dobrodzieiu... Zaraz mi szukać Jasia.

SCENA X.

GDYRSKI, ARYST.

ARYST.

Więc mnie WPan słuchać nie chcesz?

GDYRSKI.

Kłaniam. Hey Marcinie! niech mi okulbaczą moią klacz kasztanowatą. Muszę poiechać do iednego pacienta, ktory ciężko choruie.



SCENA XI.

ARYST, DOROTKA.

ARYST.

CO za człowiek! Czy wiesz Dorotko o czym on zamyśla?

DOROTKA.

Może więcey ieszcze, niż WPan. Jagusia pokoiowa Klaryssy uwiadomiła mię o wszystkim. Czy zgadłbyś WPan dla czego od wczora Pan Gdyrski umyślił żenić się z Klaryssą?

ARYST.

Kto wie?.. może się zakochał.

DOROTKA.

To, to, zakochał! Właśnie też nad takim, iak on, człowiekiem miłość co dokazać może.

ARYST.

Coż przecie?

DOROTKA.

Wiadomo WPanu, żeśmy radzili Klarysie, aby się w obecności Pana Gdyrskiego pokazywała być złą i ciężką dla sług, a to dla podobania mu się, i zniewolenia go, ażeby pozwolił na małżeństwo iey z swoim synem Leandrem.

ARYST.

Wiem.

DOROTKA.

Wczora w wieczor Pan Gdyrſki był w pokoiu Pana Staruſzkiewicza, a Klaryſſa w ſwoim, ktory ieſt zaraz tuż naprzeciw oycowſkiego. Jaguſia zrobiła iakąś małą ſzkodę, Klaryſſa zaczęła ią łaiać. Pan Gdyrſki, uſłyſzawſzy ten hałas porzucił natychmiaſt Pana Staruſzkiewicza, pobiegł do iey pokoiu, i zaczął pomagać łaiania. Biedna Jaguſia muſiała zeyść im z oczu, Klaryſſa udała, że ią odprawia. Od tego momentu naſz Gdyracz oſobliwſzy ku niey powziął ſzacunek, i myśli z nią ſię żenić.

ARYST.

Z tak ladaiakich pobudek!..

DOROTKA.

Y oświadczył ſię z tym Panu Staruſzkiewiczowi. Pan Staruſzkiewicz, poczciwe i dobrowolne dziadoſko, zezwolił na to pod kondycyą, aby nawzaiem Pan Gdyrſki dał Hortenſyą Panu Mazepſkiemu iego ſzwagrowi: nie dla czego innego zapewne, tylko, że radby ſię go pozbyć z domu.

ARYST.

Wież otym Klaryſſa?

DOROTKA.

Panna nie wie, czy żyie, tak to wzięła mocno do ſerca. Powiedziałam iey to nie

dawno, pobiegła co prędzey do oyca, zaczeła płakać i załamywać ręce; ociec iuż tego poczyna żałować.

ARYST.

Trzebaż temu czym prędzey zapobiedz.

DOROTKA.

Już ia z nią i z Jagienką zaczęłam o tym myśleć, i ułożyliśmy między sobą pewny proiekt. Ucieczka Jasia podaie mi do myśli iedną sztuczkę, którey potrzeba będzie użyć.

ARYST.

Naprzykład: iaką?

DOROTKA.

Opowiem WPanu w sposobnieyszym czasie.

ARYST.

Pòdźmyż ostrzedz Leandra i Hortensyą. Porozumiemy się razem wszyscy, zatym nam dobrze rzeczy pòydą.

DOROTKA.

Chòdźmy, chodźmy. Nasz gderacz bardzoby był szczwanym lisem, gdyby miał uniknąć sideł, które na niego myślę zastawić.

KONIEC AKTU I.

AKT II.

SCENA I.

MARCIN, sam.

PRzeklętaż to rzecz narowiſta ſzkapa, a gorſzy ieſzcze Doktor gdyrliwy. Jak biedny człowiek, kiedy mu przyidzie ſłużyć takim dwom bydlętom... Niema co mowić, przedziwnie ſię dobrali.... Całym zaſapany i zmordowany... Bogu dzięki, że ſię przecie moy nowicyat ſkończył, nie będzie tego więcey.

SCENA II.

MARCIN, DOROTKA.

DOROTKA.

TUżeś to? ſzukałam cię... Gdzieżeś był?

MARCIN.

Wpakowałem naſzego gdyracza na iego przeklętą narowiſtą kobyłę. Poiechali nareſzcie z lichem, iedno nawierżgawſzy ſię, a drugie nahałaſowawſzy do woli. Ja za

moie usługi dostałem batem po plecach i na drogę testymonium całego piekła.

DOROTKA.

Odprawił cię ?

MARCIN.

Y nie zapłacił... Ale mniey dbam o to.

DOROTKA.

Czy tak? Słuchayże, ieśli chcesz się pomścić, nim ieszcze będzie wieczor, podam ci do tego śliczną bardzo okazyą.

MARCIN.

Prawda to iest, że duch pomsty nie oznacza dobrey duszy, ale nareszcie iestem człowiekiem na niesprawiedliwość czułym. Mòw co masz mowić, wszystko uczynię iestem gotow.

DOROTKA.

Powiem ci potym, teraz idź na straż w rog ulicy, i skoro zobaczysz powracaiącego gdyracza, natychmiast znać mi daway. Oto i moia Pani.

SCENA III.

HORTENSYA, DOROTKA.

HORTENSYA.

BRAT moy i ſtryi poſzli po Klaryſſę, i z nią tu przyidą.

DOROTKA.

Bardzo dobrze. WPanna, ieżeli ią ociec zagadnie, abyś ſzła za Mazepſkiego, uday, żeś powolna, ani go uporem gniewaj.

HORTENSYA.

Ale czy można moia Dorotko? ſkoro mu raz powiem *tak*?

DOROTKA.

To drugi raz powieſz *nie.*

HORTENSYA.

Ze też ty ſię zaraz gniewaſz.

DOROTKA.

Dayże ſię WPanna powodować, i ſłuchay.

HORTENSYA.

A ieżeli twoy zamyſł nie uda ſię?

DOROTKA.

Robże, co ci ſię podoba.

HORTENSYA.

Dla Boga! iakeś niecierpliwa. Czy można, żebym ſię nie wzdrygała iść za człowieka naybrzydſzego, i naygłupſzego w świecie.

DOROTKA.

Nie byłabyś WPanna iedna. Znamy kobiety tak piękne, iak WPanna, że maią mężow wierutne ſtraſzydła, mężowie piękni maią znowu koczkodany. Dobrze to ieſt iedno na drugim odwetowane. Interes nayczęściey łączy ſtadła; muſi też tak wypaść czaſem...

HORTENSYA.

Cudze nieſzczęście małą ieſt dla nieſzczęśliwego pociechą.

DOROTKA.

Ponieważ WPanna tak wiele chceſz mędrkować; cożbyś poczęła, gdyby mimo to, co ia zamyślam uczynić, oyciec WPanny uparł ſię wydać ią za Mazepſkiego?

HORTENSYA.

Nie wiem... umarłabym.

DOROTKA.

Umarłabyś? moy Boże!.. A gdybyś nie mogła umrzeć?

HORTENSYA.

Byłabym poſłuſzną. Tak ieſt, Dorotko, poſłuſzną. Cnotliwa Panna nie ma inſzey przed ſobą drogi.

Dorotka ~~HORTENSYA.~~

A moie inne iest zdanie: proszę go posłuchać. Ze cnota zabrania iść Pannie mimo woli swoich rodzicow, za człowieka, choćby go kochała, to prawda; ale żeby cnota broniła oprzeć się ich woli, kiedy chcą Pannie dać męża, ktòrego ona nie kocha, to nie prawda.

HORTENSYA.

Wiadomo ci, że nie ten iest sposob myślenia moiego oyca, iak innych; gdybym raz na to zezwoliła, mowię ci......

DOROTKA.

To, to, zezwoliła. słuchay mnie WPanna. Co się tycze małżeństwa, Panna ma swoie przyzwolenie, i odwołanie ... ale my nie przyidziemy do tego. Niech tylko Klaryssa swoie robi, a WPanna zrob znowu to, co ci radzę......

SCENA IV.

MARCIN, HORTENSYA, DOROTKA.

MARCIN.

NA trwogę, na trwogę, Pan Gdyrski, Pan Gdyrski.

DOROTKA.

Czy iuż powrocił?

MARCIN.

Nie, ale Bartłomiey prowadzi klacz iego.

HORTENSYA.

A moy ociec?

MARCIN.

Maleńki przypadek zsadził go o kilka z tąd krokow.

DOROTKA.

Co za przypadek?

MARCIN.

Gdy miiał wrota iednego z naszych sąsiadow, muc, ktòremu znać figura iego nie podobała się, zaszczeknął; zlękła się na to klacz, skoczyła w prawą, a Pan Gdyrski przechybnął się na lewą.

HORTENSYA.

Dla Boga! Czy tylko nie szwankował?

MARCIN.

Zdrowy iak ryba. Teraz kłòci się z mucem i z gospodarzem, przybędzie tu za chwilę.

HORTENSYA.

Zapewne będzie w złym humorze. Uciekam do siebie.

DOROTKA.

Coś się nie długo bawił?

MARCIN.

Bo iuż zastał po harapie, iakem słyszał od Bartłomieia.

DOROTKA.

Czy po innego posłano doktora?

MARCIN.

Nie; ale chory sprzykrzył sobie mocno w niebytności iego, i nie doczekawszy się wizyty doktorskiey, sam swoią wolą poszedł na tamten świat.

DOROTKA.

Zawsze mu się to trafia. Ale słyszę go, schroń się, żeby cię nie postrzegł. Powiedz Klaryssie, niech zaraz tu przyidzie, a ona powie ci znowu, co masz czynić. Słuchayże, (*szepce mu do ucha.*)

MARCIN.

Rozumiem, rozumiem. (*odchodzi.*)

SCENA V.

GDYRSKI, DOROTKA.

GDYRSKI.

Zeby was iasne pioruny pobiły.... Poczekay niecna gawiedzi, łaydaki, psubraty, nikczemna hołoto. Nauczę ia was, iak macie odtąd uwięzywać te psie sobaki, mucy, i kundle wasze.

DOROTKA.

Niepoczciwy też to, ten naſz ſąſiad. Mowiłam tyle razy temu niecnocie... No, no; tę rzecz zday Pan na mnie, nauczę ia go rozumu, popamięta ruſki mieſiąc.

GDYRSKI, na ſtronie.

Ta dziewczyna zdaie mi ſię być dobra... Jaś czy powrocił ?

DOROTKA.

Jeſzcze go niema, Mości Dobrodzieiu.

GDYRSKI.

Niepoczciwy bęben zagryzie mię. Ktoż go poſzedł ſzukać ?

DOROTKA.

Pan Pedancki, i chłopiec iego.

GDYRSKI.

Niech Bog broni, żeby mi ſię miał kędy zawałęſać chłopiec.

SCENA VI.

GDYRSKI, DOROTKA, LOKAY.

LOKAY.

PAn Mazepſki chce ſię z Panem widzieć.

GDYRSKI.

Proſić go. Muſzę z nim pomòwić, i widzieć, ieżeli w rzeczy ſamey taki gamoń, iak powiadaią.

SCENA VII.

GDYRSKI, DOROTKA, MAZEPSKI, LOKAY.

GDYRSKI.

PRoszę do ſiebie bliżey, Moſpanie narzeczony zięciu... No przyſtąpże WPan.

DOROTKA, do Mazepſkiego.

Jeſzcze bliżey. Jegomość nie lubi głośno gadać.

MAZEPSKI, przyſtępuiąc niezgrabnie.

Niczego.

GDYRSKI, za każdym przemowieniem wpatruie ſię w niego, i czeka odpowiedzi.

Słuchayże WPan. Chcą we mnie wmowić, że wydaię moią corkę za głupca.

MAZEPSKI.

Czy tak?

GDYRSKI.

Ale znać, że temu nie wierzę, kiedy ią za WPana wydaię.

MAZEPSKI, kłaniaiąc ſię.

A Mości Dobrodzieiu!

GDYRSKI.

Co większa z dobrym poſagiem.

MAZEPSKI.

A, a.

GDYRSKI.

Obiecałem ią był dla nieiakiego Mondora, ktòrego teraz tu nie ma.

MAZEPSKI.

No?

GDYRSKI.

Ale teraz wolę WPana.

MAZEPSKI, *kłaniaiąc się.*

A, a.

GDYRSKI.

Jak powroci, poydzie z grochowym wieńcem.

MAZEPSKI, *uśmiechaiąc się.*

E, e.

GDYRSKI.

Ja biorę WPana siestrzenicę Klaryssę.

MAZEPSKI.

No?

GDYRSKI.

Złości mie wszystkie biorą. *A, a. e, e, no, no, czy tak!* Czy więcey, moy Panie, mowić nie umiesz?

DOROTKA.

Alboż WPanu źle odpowiada?

MAZEPSKI.

A, a.

GDYRSKI.

Prawda to ieſt, że ſtyl ma zwięzły....

MAZEPSKI.

Tak też to, cokolwiek.

DOROTKA.

Tym lepiey, nie rozklekcze WPanu głowy.

GDYRSKI.

Gaduła bywa ieſzcze nieznośnieyſzy, z tym wſzyſtkim.....

DOROTKA.

O! co tu ma być dziwnego... Znam ia takich wielu, ktorzy bez tego *a*, *a*, *e*, *e*, *niczego*, z niczym więcey ozwać ſię nie maią

GDYRSKI.

Muſzę go zaprowadzić do Hortenſyi, może przy niey będzie mownieyſzy. Proſzę WPana z ſobą...

DOROTKA, *popychaiąc go.*

Podź WPan, zobacz ſię z ſwoią narzeczoną, Moſpanie, a, a, ... Za iakiegoż to niunia chce wydać tak grzeczną dziewczynę!... Nic z tego nie będzie. Moia w tym głowa.

SCENA VIII.

LEANDER, ARYST, DOROTKA, MARCIN, *potym wchodzi.*

ARYST.

GDZIEŻ moy brat?

DOROTKA.

Poſzedł do pokoiu Hortenſyi z Panem Mazepſkim. Rozumiem, żę ſię nie długo bawić będą.

MARCIN.

A ia, czy mogę wniyść?

DOROTKA.

Możeſz; ale ſpieſz ſię prędko.

MARCIN.

Klaryſſa będzie tu nie zabawem.

DOROTKA.

Bardzo dobrze.

W tey Scenie Marcin uſtawicznie naziera, ieżeli Gdyrſki nie idzie.

MARCIN, do Dorotki.

Znalazłem Jaſia, i zaprowadziłem go do Jegomości. (*wſkazuie Aryſta.*)

DOROTKA.

Dobrze.

MARCIN.

Nie wyidzie ztamtąd, aż mu każesz.

DOROTKA.

Wyśmienicie. Mowiłaż ci Klaryssa, co masz czynić?

MARCIN.

Mowiła.

DOROTKA.

Podźże przygotuy się do swoiey roli.

MARCIN.

Idę. (*chce odchodzić.*)

DOROTKA.

Nie rozumiem, żeby Pan Gdyrski znał dobrze twoią fizognomią.

MARCIN.

On miałby mię znać! Przez te dwa dni moiey u niego służby, ledwie może raz spoyrzał na mnie.

DOROTKA.

Wyidź prędzey, żeby cię nie zszedł.

SCENA IX.

HORTENSYA, LEANDER, ARYST, DOROTKA.

HORTENSYA.

AH! odetchnełam przecie. Mazepſki dopiero co z moim oycem wyſzedł odemnie. Rozeſzli ſię oba, każdy do ſiebie. Moy ociec mocno ieſt zmartwiony ucieczką Jaſia.

DOROTKA.

Niech trochę poczeka, nim ſię z nim zobaczy.

LEANDER.

Dla czegoż to?

SCENA X.

HORTENSYA, LEANDER, ARYST, DOROTKA, GDYRSKI, *wgłębi Teatrum.*

DOROTKA.

DOWIESZ ſię WPan, iak będzie czas na to.

HORTENSYA. z ulęknieniem.

Wſzak to naſz ociec! Dla Boga! czy nas nie podſłuchał!

DOROTKA.

A, gdzie tam słyszał. Alboż WPanna nię wiesz, że, kiedy iego gdyranie odmieni się w ten czarny humor, w którym teraz zostaie, ani słyszy, ani widzi nikogo. Poydę o zakład, że nas nie widzi.

ARYST.

Trzeba go przygotować do wizyty Klaryssy. Przystąp do oyca, Leandrze!

LEANDER.

Nie śmiem.

ARYST.

To ty, Hortensyo!

HORTENSYA.

Zadną miarą nię mogę, wuiaszku. Drżę cała.

ARYST.

To ty, Dorotko!

DOROTKA.

A niech mię Bog broni.

ARYST.

Ale zkąd mu ta czarna melancholia.

DOROTKA.

Może dla tego, że iuż od godziny na nikogo nie gderał.

GDYRSKI, *przechodząc się w gniewie.*

Dopust na mnie Boży!... Nie znayduię nikogo, z kimbym mogł chwilę pomowić, i

nie rozgniewać się. Jestem dobry ociec, dzieci mnie moie martwią, dobry Pan, sludzy się na to usadzaią, żeby mię gniewać, dobry sąsiad... psy sąsiedzkie szczekaią na mnie... klacz mnie zrzuciła; potłukłem boki... Pacienty nawet... i ci są przeciwko mnie... Swiadkiem dzisieyszy... Powiedziałby kto, że umieraią umyślnie, aby mnie martwić.

ARYST.

Muszę do niego przystąpić. Sługa uniżony Mospanie bracie.

GDYRSKI.

Uniżony.

ARYST.

Czegożeś WPan tak smutny?

GDYRSKI, porywczo.

Smutny.

LEANDER.

Coż to WPanu Dobrodzieiowi?

GDYRSKI.

Nic.

LEANDER.

Nie możnaby przynaymniey wiedzieć?

GDYRSKI.

Cisszy.

DOROTKA.

Czy nie roskażesz WPan Dobrodziey?

GDYRSKI.

Idźże do nieszczęścia.

DOROTKA.

Mam Panu pocieszną donieść nowinę. Widziałam, że Panna Klaryssa tu weszła.

GDYRSKI, przechodząc w lepszy humor.

Klaryssa!.. Wyidźcież z tąd. Potrzeba mi trochę czasu wolnego. (*do Hortensyi, która pomału idzie.*) Daleyże. Czemu się nie ruszasz ? Cierpieć nie mogę tych Waścinych min kompasowanych.

SCENA XI.

GDYRSKI, ARYST.

GDYRSKI.

A WPAN, ieżeli masz mi dawać tak głupie rady, iakem dopiero słyszał od niego, pòyidź lepiey do siebie, i dowiedz się, czy cię kto nie potrzebuie.

ARYST.

Nie, moy bracie. Ponieważ myślą WPana iest żenić się z Klaryssą, i owszem.

GDYRSKI, przechodząc w dobry humor.

Fraszka to teraz, ale potym WPan zobaczysz, iaka różnica Klaryssy od tych wa-

ſzych pupek, co to o niczym nie myślą tylko o niebieſkich migdałach, iakby ſię wypryndać, w oknie rozwalić....

ARYST.

Chcę temu wierzyć.

GDYRSKI.

Właśnie mi takiey potrzeba kobiety, iak ona.

ARYST.

Sprawiedliwie. Potrzeba ſobie dogodzić.

GDYRSKI.

Czy podobna, żebym ſam wyſtarczył utrzymywać karność domową, goſpodarſtwo, intereſſa zewnętrzne, i tyle, co mam tego na głowie.

ARYST.

Bez wątpienia.

GDYRSKI.

Gdy ia ſię zatrudnię goſpodarſtwem wewnętrznym, ona tym czaſem wyidzie do miaſta, będzie ſię przemawiać z kupcami, z piekarzami, z kurnikami, i tam daley. Popamięta ten, kto mi w czym będzie krzywy. Ale oto i ona. Sam z niey wyrozumieſz dokładniey.

SCENA XII.

KLARYSSA, GDYRSKI, ARYST.

KLARYSSA, wpadaiąc po trzpiotoſku.

NAYNIŻSZA, nayniżſza Jakżem kontenta Moſpanie Gdyrſki... Od dawna iuż w tak dobrym nie byłam humorze... nie potrafię tego WPanu doſtatecznie wyrazić.

GDYRSKI.

Zkądże WPannie ta zbytnia radość?

KLARYSSA.

Jak ſię tu nie cieſzyć!.. Ociec pozwolił na wſzyſtko, czegom tylko żądała. Do moiey woli zoſtawione całe przygotowanie weſelne.

GDYRSKI.

Wieleż to tego ma być przygotowania?

KLARYSSA.

Zapewnie, że nie mało. Suknie, uczty, bieſiady, muzyka, maſzkarada, koncerty, a oſobliwie bale ciągiem przez piętnaście wieczorow.

GDYRSKI.

A to znowu co nowego...

KLARYSSA.

Widzisz WPan tę suknią? wszak gustowna ?. . Jest to naylichsza z tuzina, które na gwałt szyć kazałam. Będzie tyleż i dla WPana.

GDYRSKI.

Dla mnie tuzin sukien?

KLARYSSA.

Dopiero zrobiono dwie pary. Przyniosą ie WPanu dziś w wieczor. Czybym ia ścierpiała widzieć cię tak ubranego. Chodzisz, moy Panie, iakby w żałobie po swoich pacientach.

GDYRSKI, *na stronie.*

Czy zawrotu głowy dostała!

KLARYSSA.

Trzeba zrzucić ten ubior okropny, i przybrać się w suknie iasne.

GDYRSKI.

Jasne suknie! dla mnie doktora!

KLARYSSA.

Jasne, iasne, tak chcę, i tak być musi. Skoro się bierzemy, trzeba się oboygu wystrychnąć *galanto*. Nie pierwszy WPan doktor będziesz się nosił modnie.

GDYRSKI, *na stronie.*

Dalibog! od rzeczy gada.

KLARYSSA.

Co do uczty; będziem mieć dwa ſtoły, każdy po oſob trzydzieści. Muzyka będzie grać w ſali.

GDYRSKI.

Ale moia Panno, zreflektuy ſię, dla Boga....

KLARYSSA.

Maſzkarada iuż ieſt gotowa.

GDYRSKI.

Maſzkarada!..

KLARYSSA.

Pohaſawſzy iedną i drugą godzinkę, wymkniemy ſię z kompanii *incognito*, i przebierzemy ſię, ia za Wenerę, a WPan *en Adonis*.

GDYRSKI, na ſtronie,

Oſzalała.

KLARYSSA.

Jakże będziemy tanczyć!.. To moia paſſya taniec... Zamowiłam także czterech lokaiow, ktòrzy przedziwnie na inſtrumentach graią: będzie domowa kapela.

GDYRSKI.

Czterech lokaiow!

KLARYSSA.

Alboż to wiele! dwoch dla WPana, a dwoch dla mnie... Jak ſię pobierzemy ie-

den dzień w mieśiąc będą u nas *assamblé*, z wolnym weyściem dla wszystkich naszych przyiacioł, a mam ich Bogu dzięki dość wiele.

SCENA XIII.

KLARYSSA, GDYRSKI, ARYST, JAGUSIA.

JAGUSIA.

MOścia Dobrodziko. Przynieśiono ze sklepu maski. Może ie Pani obaczyć zechce. Ale iak gustowne!

GDYRSKI.

Nie też to WPanna dziewczynę wypędziłaś wczoray?

KLARYSSA.

Tak iest, tę samą.

GDYRSKI.

Y znowuś ią przyięła?

KLARYSSA.

Trudno mi się bez niey obeyść. Dziewcze wesołe, zawsze w skokach, w wyśpiewywaniach... Mocno takie humory lubię.

GDYRSKI.

Takie ſługi, nie ze wſzyſtkim ſą czaſem uſłużne.

KLARYSSA.

Być to może, ia iednak wolę być źle uſłużoną, a mieć zawſze ſługi weſołe.. Humor ludzi, ktòrzy nas otaczaią, iakikolwiek ieſt, czy zły, czy dobry, zawſze ſię nam udziela, a ia ſmutną być nie lubię.

GDYRSKI. na ſtronie.

Czy ią od dnia wczorayſzego kto zaczarował!

JAGUSIA.

Niechże ſię Pani nie bawi, bo tam na nią czekaią.

KLARYSSA.

Do zobaczenia Moſpanie Gdyrſki. Ciekawa ieſtem co prędzey widzieć naſze ſuknie. Albo nie guſtowne Jaguſiu? ... Ale, ale, wſzak to zoſtawiłam u ſiebie Pana *Kanaretti*... Boday to licho wzieło taką pamięć. Adieu. Adieu.

SCENA XIV.

JAGUSIA, ARYST, GDYRSKI.

GDYRSKI.

KToż to ieſt ten *Kanaretti*?

JAGUSIA.

Metr śpiewania. Ah! co to Pan będzie miał za ſkarb, nie żonę, tę moią Panią! Wiele ieſt kobiet, co lubią na ludzi gderać i mężow martwić: ale z nią Pan będzie zupełnie ſpokoyny i ſzczęśliwy. Niech całe goſpodarſtwo poydzie w nieład, niech wſzyſtko przewroci ſię na opak, ią to nic bynaymniey nie obeydzie. Taka z niey na to filozofka. Patrz WPan Dobrodziey, pięć lat iey ſłużę, dopiero wczora pierwſzy raz ią widziałam gniewaiącą ſię.

GDYRSKI.

Moia kochana, mnie ſię zdaie, że to nie ona, ale iey ociec....

JAGUSIA.

Przepraſzam Pana, że muſzę odeyść. Y ia także mam moią przywdziać maſkę. Będziemże hałac, będziem! (*odchodzi prędko.*)

SCENA XV.

GDYRSKI, ARYST.

GDYRSKI, na ſtronie.

ZApominam ſię na to wſzyſtko, i ſam nie wiem, gdzie ieſtem.

ARYST.

Otoż ta WPana zachwalona Klaryſſa.

GDYRSKI. na ſtronie.

Muſi w tym być iakaś taiemnica.

ARYST, na ſtronie.

Czy ſię domyśla, że go oſzukuią.

GDYRSKI.

No, no, dorozumiewam ſię ia, zkąd to pochodzi.

ARYST.

Może WPan rozumieſz, że radość z przyſzłego zamęźcia....

GDYRSKI, w gniewie.

A wieſz Waść, Moſpanie bracie, że to ieſt twoy dar ſzczegulny, opaczne zawſze czynić wnioſki?

ARYST.

Moy dar...

G:DYRSKI.

Tak iest, tak. Wszystkie te głupstwa Klaryssy pochodzą z iey oyca. Ci szlachta staroświeccy, pospolicie lubią hulanki, Słyszałem, pamiętam; ten ćwik stary mowił, że chce tańczyć do upadłego na weselu swoich dzieci.

ARYST.

WPan rozumiesz....

GDYRSKI.

Poydę zaraz wybuzować należycie tego starego głupca.

SCENA XVI.

ARYST, DOROTKA.

DOROTKA.

DOKĄDŻE Jegomość poszedł?

ARYST.

Do oyca Klaryssy. Uroił sobie w głowie, że wszystko to, co mowiła, mowiła z iego nabechtania.

DOROTKA.

Niech idzie nic tam nie wskura. Pan Staruszkiewicz iedno z nami myśli. Do tego i nie zastanie go teraz. Ale WPan wyidź ztąd; on nie zabawem powroci,

ci, gdyż dom tylko przez drogę. Ukryi się gdzie w bliskim pokoiu, słuchay co tu się dziać będzie, a iak poznasz, że rzeczy daleko poydą, wpadniy raptownie, niby mu na ratunek...

ARYST.

Wszak mowiłaś, że nikt nie ma być w domu.

DOROTKA.

Tak też iest. Leandra i Hortensyą wysłałam, a ludzi wszystkich co do iednego powypędzał Pan Gdyrski... Ale oto i on.... prędzey się WPan schoway.

SCENA XVII.

GDYRSKI, DOROTKA, LOKAY.

DOROTKA.

Już to WPan Dobrodziey powròciłeś?

GDYRSKI.

Nie zastąłem tego starego ćwika.

DOROTKA.

Mowił mi ktoś, że się u niego dziś zabiera na wielki bal z muzyką.

GDYRSKI.

Takci to iest. Zamowiono iuż, słyszałem, kapelę za 40. Czerwonych Złotych. Na,

zanieś im ośmdziesiąt, a niech nie przychodzą.

DOROTKA.

Schoway WPan Dobrodziey pieniądze; tych przekupiemy, drudzy się znaydą: a do tego Klaryssa, kiedy się raz naco uweźmie; dokazać musi. Poznay się WPan lepiey na kobietach wielkiego świata: z nich biorą ton niższe. Zbytnie wydatki stanowią teraz reputacyą i wziętość... Może Klaryssa dla tego chce iść za mąż, żeby miała o czym...

GDYRSKI.

Co ty mnie mowisz? Ja wiem dobrze, że to nie Klaryssa, ale...

LOKAY.

Mości Dobrodzieiu, iakiś człowiek chce się z Panem widzieć.

DOROTKA, na stronie.

Wyśmienicie... moy tańcmistrz.

GDYRSKI.

Kto taki?

LOKAY.

Powiada, że się nazywa: (*myśli.*) Zapomniałem do licha... Poczekay Pan; poydę go się spytam.

GDYRSKI, biorąc go za uszy.

Nie czas teraz, hultaiu, pytać się o to. Podź tu sam, żeby cię iasne pioruny spaliły..

(Lokay wrzeſzczy.)

DOROTKA.

E! dla Boga! Już eś mu WPan wſzyſtkie ze łba wydarł włoſy, muſiał dla tego wziąć perukę; teraz nareſzcie chceſz oberwać uſzy, których zapewne nie doſtanie za pieniądze.

GDYRSKI, puſzczaiąc go.

Nauczę ia cię niecnoto... Zapewne przyſzedł Pan Faſcykulſki moy plenipotent? Czemuż tak nie mowiſz? (*na ſtronie*) Czy ſobie nie mogł innego obrać czaſu na liczenie mi pieniędzy. Kaci nadali natręta. (*do Lokaia.*) Niechże weydzie.

SCENA XVIII.

MARCIN, *iak tańcmiſtrz.* GDYRSKI, DOROTKA, SKRZYPEK.

GDYRSKI.

ZLE ſię domyśliłem. Jakiś człek nieznaiomy. (*tu Marcin kłania mu ſię wykwintnie po kilka razy.*) Ktoż WPan ieſteś, Moſpanie, z temi ſwoiemi ukłonami i kortezami?

MARCIN, zawſze kłaniaiąc ſię.

Jeſtem, Mości Dobrodzieiu Pryſidkiewicz do uſług Pańſkich.

G D Y R S K I, *do Dorotki.*

Twarz ta zda mi ſię coś znaioma.

D O R O T K A.

Czyż mało bywa ludzi podobnych do ſiebie!

G D Y R S K I.

Jakiż interes maſz WPan do mnie?

M A R C I N.

Przychodzę tu z liſtem od Imć Panny Klaryſſy Staruſzkiewiczowny. *Ten liſt powinien być zrobiony nakſztałt funtazika.*

G D Y R S K I.

Proſzę o niego... Chciałbym wiedzieć, kto ią nauczył tak ſkładać liſty. Co za forma ſkładania! Funtazik!.. day go katu. Zobaczmy co tam piſze.

D O R O T K A, *na ſtronie, gdy on liſt rozwiia.*

Zaden podobno w świecie amant nie utyſkiwał na to.

G D Y R S K I, *czyta.*

Powiadaią wſzyſcy, że idę za nayiwiękſzego w świecie gdyracza i marudę. Chcę ich z tego wyprowadzić błędu. i tym końcem dziſieyſzego wieczora damy u ſiebie bal. W głowie iak po śliwkach!!..

M A R C I N.

Proſzę Mości Dobr: kończyć czytanie.

GDYRSKI, *czyta.*

Słyszałam od samego WPana, że nie umiesz tańczyć; posyłam mu zatym osobliwszego, i iedynego w świecie człowieka.....

MARCIN, *do Gdyrskiego, który go (od stop do głowy obziera.*

A! Mości Dobrodzieiu.....

GDYRSKI, *czyta.*

Który w godzinie tyle WPana tańcu nauczy, ile będzie potrzeba do okazania się na balu.... Zebym się ia miał uczyć tańcować!

MARCIN.

Raczy Pan kończyć czytanie.

GDYRSKI, *czyta.*

Jeżeli mię WPan kochasz, naucz się kontradansu. (*wpadaiąc w cholerę.*) Kontradansu, ia! kontradansu! A wiesz ty, osobliwszy i iedyny w świecie człowieku! że tu u mnie możesz co oberwać?

MARCIN.

Upewniam, że za kwadrans przedziwnie Pan tańczyć będzie. Moia w tym sztuka.

GDYRSKI, *ieszcze bardziey rozgniewany.*

A ia tobie powiadam, że i tyle nie potrzeba czasu, żebyś był za oknem. Hey Bartłomieiu, Grzegorzu....

DOROTKA. *cicho.*

Nie trzeba ich było wypędzać. Zadnego nie ma w domu.

MARCIN, *daiąc znać ſkrzypkowi, aby grać zaczął.*

No daley. Ten przegrawek, może wprowadzi Jegomości w dobry humor. (*Skrzypek grá.*) Mamże WPana prowadzić za rękę? czy też maſz iuż iakowe początki?

GDYRSKI,

(*w oſtatniey złości do Skrzypka, i do Marcina.*)

Słuchayże ty dudo.... Jak mi nie każeſz przeſtać tego rypania, kości ci kiiem połamię.

MARCIN.

O! moy Panie, kiedy tak zaczynaſz, muſiſz mi zaraz tańczyć.

GDYRSKI.

Ja mam tańczyć, hultaiu?

MARCIN.

Tak tak, będzieſz tańczył, choćbyś nie rad. Mam rozkaz Panny Klaryſſy, żebyś ſię uczył tańczyć: i zapłaciła mi za to. (*do ſkrzypka.*) Zaſtąp tam odedrzwi, żeby nam nie uciekł. (*dobywa ſzpady, i bierze ią pod pachę.*)

GDYRSKI, *uſtraſzony.*

Zginąłem! Co mi za ſzaleńca przyſłała ten trzpiot dziewczyna.

DOROTKA, ſtawia w kącie Teatru uſtraſzonego Gdyrſkiego; a ſama idzie mowić z Marcinem.

(do Gdyrſkiego.)

Widzę, że mi ſię potrzeba wdać w ten interes. Stoy WPan tu, a ia z nim pomowię. (*do Marcina.*) Moy Moſpanie Pryſidkiewicz! bądź WPan grzecznieyſzy, i powiedz Panu Staruſzkiewiczowi....

MARCIN.

A mnie co do Pana Staruſzkiewicza? albo to on mnie przyſłał! Muſi mi Jegomość natychmiaſt tańczyć.

GDYRSKI.

Ten niecnota, ten niepoczciwy...

DOROTKA.

Chciey WPan mieć wzgląd na to, że Jegomość iuż ieſt podeſzły...

MARCIN.

Muſi tańczyć.

DOROTKA.

Tak ſławny doktor!

MARCIN.

Muſi tańczyć.

DOROTKA.

Możeſz WPan czaſem zachorować, i potrzebować iego pomocy.

GDYRSKI, ciągnąc Dorotkę za fuknią.

Powiedz mu, że ieżeli kiedy potrzebować będzie, każe mu i krew puścić, i dać na purgans, bez fzeląga zapłaty.

MARCIN.

Obeydę fię bez tego. Albo zaraz niech tańczy, albo upewniam, że tego żałować będzie.

GDYRSKI. na ftronie.

Przeklęty łotr.

DOROTKA, idąc do Gdyrfkiego.

Darmo! niemożna nic począć z tym brutalem, żadney racyi fłuchać nie chce. Jak na licho nikogo w domu nie ma. Boię fię niefzczęścia.

GDYRSKI.

To prawda.

DOROTKA.

Przypatrz fię WPan tylko iego fizognomii, iak złośliwa.

GDYRSKI, fpozieraiąc nań z ukófa.

Oczy ma ftrafzne iafkrawe.

MARCIN, porywaiąc fię do Gdyrfkiego.

Kiedyż ia fię doczekam tego tańcu?

GDYRSKI.

Gwałtu, gwałtu, ratuy kto fłyfzy.....

DOROTKA, *zatykaiąc mu usta.*

Co WPan naylepszego robisz; to go bardziey ieszcze rozgniewa. Czy nie wiesz, że wszyscy sąsiedzi z oboiętnością patrzaliby, choćby cię kto ze skòry odzierał?.. Wierż mi WPan, kilka skokow kontradansu, może mu zachować życie; a tak, kto wie, co się stanie.

GDYRSKI.

A nie mianożby mnie za głupiego?.

DOROTKA.

Miłość wszystkie osłania błędy. Słyszałam od Pana Pedanckiego, że i Herkules zakochany prządł kądziel u *Omfali.*

GDYRSKI, *kryiąc się i boiąc.*

Tak iest, Herkules prządł kądziel, ale nie tańczył kontradansu: a kontradans, iest to taniec, ktòrego ia ze wszystkich innych naybardziey nie cierpię.

DOROTKA.

Więc mu WPan to powiedz, może innego zechce uczyć.

MARCIN.

Wreszcie przystaię na to. Chcesz W. Pan kozaczka?

GDYRSKI.

Kozaczka?... Nie.

MARCIN.

Mazura?

GDYRSKI.

Mazura?.. Nie.

MARCIN.

No, to Alemanda, Angleza, Krakowiaka, byczka, sarabandy, drabanta...? który się podoba.

GDYRSKI.

Nie, nie, żaden z tych nie podoba mi się.

MARCIN.

Chcesz WPan tańca poważnego?

GDYRSKI.

Tak, tak, poważnego, ieśli iest, który w świecie poważny.

MARCIN.

Więc menwetu.

GDYRSKI.

Nie, nie chcę menwetu, bobym sobie nogi powykręcał.

MARCIN.

Już też ia sam się domyślić nie mogę. Napomkniy mi WPan, który mu się podoba. Ale proszę nie bawić, bo iak mi cierpliwości braknie, przysięgam, że...

GDYRSKI, *przerywaiąc.*

Kiedy iuż inaczey być nie może, będę się uczył tego.... iak go to nazwać?

MARCIN.

Ktòrego? Zaraz mi będziesz tańczył. (*bierze go do tańca.*)

GDYRSKI.

Tego... iak się zowie..... (*wrzeszczy.*) Gwałtu, gwałtu, gwałtu, ratuy kto słyszy. Gwałtu... (*tu skrzypek gra, Marcin go prowadzi w tańcu.*)

SCENA XIX.

ARYST, DOROTKA, MARCIN, GDYRSKI.

ARYST, *wpadaiąc.*

COż to iest?.. Co ia widzę!

GDYRSKI.

Oto....

ARYST.

Co się to znaczy?

GDYRSKI.

Ten hultay chciał....

ARYST.

Moy brat uczy się tańczyć?

GDYRSKI.

Mowię WPanu, że ten pſubrat...

ARYST.

W tym wieku...

GDYRSKI.

Ale mowię WPanu...

ARYST.

Chyba kto z ciebie żarty ſobie ſtroi, moy bracie.

GDYRSKI.

Otoż znowu drugi na moią głowę.

ARYST.

Jabym miał cierpliwie na te patrzać dziecińſtwa, i dopuſzczać....

GDYRSKI, *wprowadzony w oſtatnią niecierpliwość.*

Ale do wſzyſtkich diabłow ſłuchay co ci powiem, wieczny gaduło. Czemu mi nie daieſz kończyć. Ten obieś, ktorego tu widziſz, mocą gwałtem każe mi tańczyć.

ARYST.

Gwałtem?

GDYRSKI.

Tak ieſt, gwałtem.

DOROTKA.

Koniecznie chciał, żeby Jegomość tańczył kontradanſa.

MARCIN.

Y ieſzcze muſi, choćby nie rad.

ARYST.

Zkądże to tobie ta śmiałość, panie tańcerzu, nachodzić dom cudzy?...

MARCIN.

Mośpanie, wiem za czyim przyſzedłem roſkazem. Idę natychmiaſt do Panny Staruſzkiewiczowny; dowie ſię, iak tu przyimuią ludzi poſłanych od niey. (*wychodzi niby rozgniewany.*)

SCENA XX.

ARYST, GDYRSKI, DOROTKA.

GDYRSKI.

Nie podobna mi dłużey wycierpieć. Idę zaraz do tego ſtarego głupca, wybuzuię iego, iego corkę, i wſzyſtkich, ktokolwiek tylko w tym ſzalonym znayduie ſię domu. Mnie kazać uczyć kontradanſu. A! żeby ich iaſne zabiły gromy. Kontradanſu, kontradanſu. Doktor kontradanſu!.. (*wypada prędko.*)

SCENA XXI.

ARYST, DOROTKA.

DOROTKA, śmieiąc ſię na głos.

CHA cha. A co, czy źle popiſał ſię Marcin?

ARYST, śmieiąc ſię.

Przedziwnie. Nieoſzacowany człowiek. Może to mego brata uczyni rozumnieyſzym, i cofnie od popełnienia głupſtwa. Wyrzeknie ſię teraz zapewne Klaryſſy i o ożenieniu myśleć przeſtanie.

DOROTKA.

Mało to na tym. Trzeba ieſzcze dokazać tyle, aby ſwoie pierwſze względem małżeńſtw Hortenſyi i Leandra uyścił poſtanowienie. Zawińmy ſię około tego żywo, i chwili czaſu daremnie nie traćmy.

KONIEC AKTU II.

AKT III.

SCENA I.

MARCIN, DOROTKA.

DOROTKA.

Po coż tu przychodzisz? Czemuś się nie przebrał? Gdyby nadszedł Pan Gdyrski...

MARCIN.

Jeszcze się ma kłocić z Klaryssą i z Mazepskim.

DOROTKA.

Może nas zeyść i poznać cię...

MARCIN.

Zkąd ma poznać! Jeszcze tobie nie iest dobrze wiadoma moc, iaką maią suknie ku przemianie ludzi. Umieć piętą wiercieć, być dobrze ubranym... Znam bardzo wielu, dla których nie potrzeba więcey, aby się omamili miłością własną, i sami siebie nie poznali. Coż mowić o tym, żeby ich kto miał poznać!

DOROTKA.

Czy mafzże mi co mowić, czy nie? Jeżeli nie, to poydź i nie baw fię.

MARCIN.

Y iak wiele. A naprzod powiadam to. Ponieważ Pan Mondor iuż przyiechał, niechże fwoiemi ludźmi rzeczy dokona, bo ia nie myślę.

DOROTKA.

Tylkobyś nie był dzieckiem. Mondor przyiechał letko z iednym tylko kamerdynerem, ktòregośmy iuż zrobili kapelanem, i pofłali do Gdyrfkiego w pewnym intereffie, o którym fię dowiefz potym. Zatym na tobie zależy dobita rozpoczętey roboty.

MARCIN.

Nie będzie z tego Nic. nie podeymuię fię.

DOROTKA.

O tchorzu! tchorzu! wftydź fię.

MARCIN.

Nic łatwieyfzego, iak kogo tchorzem ofławić. Ale zważ tylko, na co to mnie narażafz. Potrzebny ci Jaś do twoich zamiarow, każefz mi go fprzątnąć: boifz fię, aby Pedancki nie wypaplotał czego, każefz go zamknąć, tak, że choćby rad wyiść nie może. Przez ciebie także nabawiłem ftrachu uczciwego doktora. A iak on doftanie frebry?

DORO.

DOROTKA.

Wielkie rzeczy! to się uleczy.

MARCIN.

Teraz chcesz znowu, żebym go bardziey ieszcze nastraszył.

DOROTKA.

Jak uważam, to ty się bardziey, niżli on, boisz. Czyż ci nie zapłacono dobrze za pierwsze? Czy ci teraz nie zapłacą ieszcze lepiey? A co naywięcey; nie będzież to dla ciebie satysfakcya, że się pomścisz nad człowiekiem, który cię bez przyczyny odegnał, i w mycie pokrzywdził?

MARCIN.

Nie, nie. Miła mi iest moia poczciwość, i dobra sława.

DOROTKA.

Zostańże przy niey, kiedy ci się tak podoba, ale razem bądź pewien, że, ieżeli nie uczynisz tego, co obiecałeś, ani cię chybi sto kiiow od Mondora,

MARCIN, *skrobiąc się w głowę.*

Sto kiiow! nie wielki specyał!.. A ieżeli dotrzymam słowa, a Pan Gdyrski się dowie, pewnie rozumiesz, że mi daruie?

DOROTKA.

W tym razie narazisz się może na iaką fraszkę, a od Mondora, ieśli nie więcey, to

naymniey ſto batów, albo też iakie iedne i drugie ſto złotych.

MARCIN.

Jeſt ſię nad czym zamyślić... Ale nareſzcie, kto ſmaruie, ten iedzie. Otoż ieſtem dla Mondora, tylko chciałbym ieſzcze mieć kaucyą i beſpieczeńſtwo moiey nadgrody. Ktoż nią będzie?

DOROTKA.

Sam Mondor, który wſzyſtko dać gotow, byle tylko ſwoiey nie utracił kochanki. Nad to Leander, Hortenſya, Klaryſſa, i Aryſt. Czy maſz na tym doſyć?

MARCIN.

Nie ze wſzyſtkim. Day mi taką kaucyą, za którąbym mogł iść do ſamey oſoby. Ja chcę moia Panno, zawrzeć z wami tranzakcyą prawem wexlowym, żeby było napiſano, *dobry na mnie ſamego.*

DOROTKA.

Kiedy tak, maſz mnie ſamą.

MARCIN.

Zgoda. Day na to rękę.

DOROTKA.

Idźże ſię prędzey przebierz.

SCENA II.

MAZEPSKI, DOROTKA.

DOROTKA.

WReszcie naſz interes na dobrey ieſt drodze. Jeżeli naſi kochankowie zoſtaną ſzczęśliwemi, mnie wſzyſtko będą powinni. . Co widzę! Mazepſki! Zeby nam tylko czaſem nie pobròżdził. Ale nie naprzykrzy mi ſię, ieśli pytania iego nie będą dłuzſze od moich odpowiedzi.

MAZEPSKI.

Kłaniam. Chciałbym ſię widzieć z Panem Gdyrſkim.

DOROTKA.

Widzieć ſię?

MAZEPSKI.

Był on u mnie.

DOROTKA.

U WPana?

MAZEPSKI.

Ale mię nie zaſtał.

DOROTKA.

Nie zaſtał?

MAZEPSKI.

Nie ſzpetnego mi Jegomość dziſiay wypłatał figla.

Fij

DOROTKA.

Figla?

MAZEPSKI.

Niechce iuż zą mnie wydać Hortensyi.

DOROTKA.

Czy tak?

MAZEPSKI.

Przyszedłem mu na to odpowiedzieć, że tyle dbam o to, co pies o piątą nogę.

DOROTKA.

O piątą nogę!

MAZEPSKI.

Upewniam, że, kiedy zechcę, daleko lepszą znaydę partyę.

DOROTKA.

Zapewne!

MAZEPSKI.

Właśnie mi drogi karafiał iego corka!

DOROTKA.

No!

MAZEPSKI.

Rozumie pewnie, że ma z głupim do czynienia.

DOROTKA.

A, a.

MAZEPSKI.

Pozna wkrótce, że nie iestem taki: powiedz mu to odemnie.

DOROTKA.

Bardzo dobrze.

MAZEPSKI.

Drwię ia i z niego, i z iego corki.

DOROTKA.

Tak ieſt.

MAZEPSKI.

Upewniam, że pożałuie tego. (*odchodzi.*)

SCENA III.

MONDOR, DOROTKA.

DOROTKA.

CHWAŁA Bogu, żem ſię przecie tego pozbyła natręta. Poydę teraz dam znać Hortenſyi o przybyciu Mondora... Otoż i on.. Przebog! co za nieroſtropność... Nie mogłeś WPan czekać na Hortenſyą u Klaryſſy. Po coś tu przyſzedł?

MONDOR.

Nie uwierzyſz, Dorotko, iak mi czas długi. Od godziny iuż nudzę ſię. Gdzież ta twoia gorliwość okazana mi w razie moiego przyiazdu. Teraz nie mogę ſię zeyść ani z tobą, ani z Panią, ani z tym człowiekiem, ktòregoś do mnie przyſłać miała.

DOROTKA.

Ten człowiek teraz, gdy z WPanem mowię, ieſt u Klaryſſy, a Hortenſya za moment pryidzie. Idę dać iey znać, powroć ſię W. Pan tam, i czekay.

MONDOR.

Tylko ſię nie baw, moia Dorotko.

DOROTKA.

Ale idź WPan, a nie gaday.

MONDOR.

Tylko nie zapomniy.

DOROTKA.

Ale idź WPan.

MONDOR.

Przydź iak nayprędzey.

DOROTKA.

Moy Dobrodzieiu nie marudźże i wyidź co prędzey. Jakże to niebaczni ſą ci amanci! Gdyby tak na inną, wſzyſtkiegoby zaniechała. Wyidź WPan dla Boga, a prędko, prędko.



SCENA IV.

GDYRSKI, DOROTKA, MONDOR.

DOROTKA.

Zeby to licho ciężko porwało! Otoż i Pan Gdyrſki. Zapewne już nas widział, nie możemy go uniknąć... Coż teraz począć... Poczekay WPan. Ponieważ na ſzczęście nie zna cię, uday, że ſię go chceſz w iakim radzić defekcie. Odprawi cię on bardzo prędko, potym przyidź do mnie. Od wſzyſtkiego przypadku przyſzlę tu Aryſta, żeby cię uwolnił, gdyby ſię rozmowa na daleko zanoſić miała.

MONDOR.

No, no, zoſtaw nas tu. Zagadnę go tak, że mnie za moment wypędzi.

GDYRSKI.

Coż to za człowiek? Czy znowu nie tańcmiſtrz.

DOROTKA, cicho.

Co WPan mowiſz. Dobrze, że cię nie poſłyſzał. Kata prawda, ieſt to znakomity człowiek, ktory ma w iakimś ſekretnym defekcie zaſiągnąć rady WPana.

GDYRSKI.

Niechże gada, mali co mowić, bo nie mam czaſu.

SCENA V.

GDYRSKI, MONDOR.

GDYRSKI.

Czegoż WPan chcesz? Twarz iednak zdaie mi się oznaczać zdrowie czerstwe.

MONDOR.

Bom też, Bogu dzięki, nie chory

GDYRSKI.

Czegoż chcesz? chorować?

MONDOR.

Bynaymniey. Szalony chyba byłbym.

GDYRSKI.

Mowże WPan, czego chcesz?

MONDOR.

Wiadomo mi, żeś WPan człowiek doskonały.

GDYRSKI.

Bez tych panegirykow.

MONDOR.

Ktoremu wiadome są wszystkie sekreta.

GDYRSKI.

Niewiadomy mi iest iednak sekret pozbycia się natrętow. Czekam daley.

MONDOR.

Niechcę, żebyś WPan zemną nadaremnie czas trawił.

GDYRSKI.

Z tym wszystkim tyle iuż go na niczym zeszło.

MONDOR.

Y iedno mam mu tylko powiedzieć słowo.

GDYRSKI.

Jużeś ich więcey sta powiedział.

MONDOR.

Słyszałem, że są sekreta, aby być kochanym, że na to daią pewne napoie, proszki...

GDYRSKI.

Coż to iest? za kogo mię WPan bierzesz.

MONDOR.

Za człowieka uczciwego.

GDYRSKI.

A chcesz się odemnie dowiedzieć sekretu, żeby cię kochano?

MONDOR.

Bynaymniey. Natura, Bogu dzięki, aż nadto mnie uwolniła od tey potrzeby.

GDYRSKI.

Otoż iest chwaliburca.

MONDOR.

Sześć albo ośm kobiet zakochawszy się we mnie bez pamięci, pokoiu mi nie daią; muszę się przed niemi kryć ustawicznie; ale zato iedną z duszy i serca kocham. ..... Są sekreta, aby być kochanym; proszę WPana naucz mie takiego, abym był dla kobiet oboiętnym.

GDYRSKI.

Oboiętnym dla tych kobiet, ktòre WPana szalenie kochaią?

MONDOR.

Tak iest, Mospanie doktorze.

GDYRSKI.

Użyi tylko...

MONDOR.

Bardzo dobrze.

GDYRSKI.

Dwa lub trzy razy...

MONDOR.

Rozumiem.

GDYRSKI.

Tak nie przyzwoicie twoiego z niemi czasu, iak go używasz ze mną, będą cię nienawidzieć, iak wszystkich diabłow. Bądź zdrow, nie mam więcey co z tobą mowić.

MONDOR.

Bog zapłać. Nie złe i to. (*odchodzi.*)

SCENA VI.

GDYRSKI, ARYST.

GDYRSKI.

WŁAŚNIE mi czas był ſłuchać iego andronow... Co to będzie! Jaſia nie ma dotychczas... Coż tam ſłychać, nie wieſz W. Pan czego o moim Jaſiu?

ARYST.

Poſzła go ſzukać Dorotka... Ale WPan, braciſzku, nie poiedzieſz iutro?

GDYRSKI.

Skoro świt.

ARYST.

Ale chyba rozporządziſz, i zakończyſz pierwey interes Pana Staruſzkiewicza, względem Klaryſſy.

GDYRSKI.

Już wſzyſtko ſkończono.

ARYST.

Jakiż koniec? chciałbym wiedzieć.

GDYRSKI.

O niczym więcey ſłyſzeć nie chcę.

ARYST.

Dziwuię ci ſię, moy bracie. Wczora chciałeś żenić Leandra z Klaryſſą, Hortenſyą z Mondorem; dziś rano ſameś ſię myślił żenić z Klaryſſą a wydać corkę za Mazepſkiego, teraz w wieczor ani tego; ani owego trzymać ſię nie chceſz, i wſzyſtkie zrywaſz umowy.

GDYRSKI.

Nie, nie, nie, nie chcę, nie chcę, nie chcę.

ARYST.

Y tak, doba czaſu nie minęła, WPan trzy razy ſwoię odmieniłeś przedſięwzięcie.

GDYRSKI.

Gotow ieſtem ſto razy odmienić, kiedy mi ſię tak podoba, i żeby mi więcey nie kłucono głowy... kontent ieſtem, żem ſię (wſzak byłeś przytym) żem ſię podioł wyiechać iutro rano na wieś, do tego Pana chorego, ktòry mi uczynił honor przez ſwoią ufność i grzeczne poſtąpienie, bo nie tylko piſał liſt, ale naydyſtyngwowańſzą dworu ſwoiego po mnie przyſłał oſobę xiędza kapelana.

ARYST.

Ale przecie nim wyiedzieſz, należałoby zrobić iakąż z Panem Staruſzkiewiczem umowę.

GDYRSKI.

Zadney, żadney, ani słowa.

ARYST.

Pan Staruszkiewicz ma mocnych przyiaciol.

GDYRSKI.

Drwię ze wszystkich.

ARYST.

Dałeś mu swoie słowo.

GDYRSKI.

Niech się go trzyma.

ARYST.

Pogroził ci sam, że potrafi upomnieć się o rzetelność.

GDYRSKI.

Nie boię się.

ARYST.

Tyle poczynił wydatkow na wesele.



SCENA VII.

DOROTKA, GDYRSKI, ARYST.

GDYRSKI.

Dorotka podsłuchuie.

KTo mu ie kazał czynić?

ARYST.

Zobaczysz, że cię obładuią luitami i grzywnami.

GDYRSKI.

Nie zapłacisz ich waść za mnie.

ARYST.

Nie zapłacę, to prawda, ale....

GDYRSKI.

Po tym com spostrzegł w Klaryssie, gdybym na reszcie całym miał przypłacić maiątkiem, choćby się świat cały miał w to mieszać, wolę ginąć, ginąć wolę nie ieden, ale sto razy, niż z takim żenić się trzpiotem i ladaco...

DOROTKA, wpadaiąc nagle.

Ah! Mości Dobrodzieiu.

GDYRSKI.

Coż to iest?

DOROTKA.

Jaś się zarekrutował.

GDYRSKI.

Zarekrutował!

DOROTKA.

Tak iest, przystał do regimentu.

ARYST.

Coż to? czy z ciebie kto, czy ty z nas chcesz żartować?

DOROTKA.

Kata tam żarty. Sama mowiłam z fierżantem i z kapitanem.

GDYRSKI.

Co za hultay!

ARYST.

Co za nieszczęście!

GDYRSKI.

Czy poszaleli! Chłopiec ledwie ma lat dwanaście. Na co on się przyda!

DOROTKA.

Y ia też mu to samo mowiłam. Odpowiedział mi, że na woynę to co inszego, wtenczas potrzeba ludzi w przyzwoitym wieku. Ale iak dla nich dobrzy i tacy. Wszak WPanowie słyszeliście, dni temu kilka, o kuryerze, ktory tu przybiegł daiąc

znać, że ſtraſzne na Wołoſzczyźnie ziawiło ſię powietrze? Wyſzły ordynanſe natychmiaſt, ażeby kordon rozciągnąć od granicy. Ten regiment przeznaczony ieſt na to, i naſz bidny Jaś nie zabawem wymaſzeruie. Widziałam go! Biedne dziecko. Dali mu *kaſzkiet* na głowę, a, żeby ſię nie zdawał być bardzo młodym, okrutne z ſzwarcu zrobili wąſy! Na to i płakać i śmiać ſię chce (*śmieie ſię.*)

GDYRSKI.

Gdzież ſtoi goſpodą ten brutal kapitan. Poydę go zaraz zbuzuię, złaię, i z błotem zmieſzam.

DOROTKA.

Ah! niech WPana Pan Bog broni.

GDYRSKI,

Co! niech Pan Bog broni, albo ia go ſię boię.

DOROTKA.

Przynaymniey, nim WPan poiedzieſz, życzę zrobić teſtament, i pożegnać ſię z ſwoiemi pacyentami.

GDYRSKI.

A to dla czego?

DOROTKA.

Ten ſam kapitan, ſtara ſię o doktorow, iuż iednego na Pradze ſchwytali.

ARY-

ARYST.

Doktorow łapią? Strzeżże się bracie. A to co!

GDYRSKI.

Jakiś na mnie dzisiay *feralis*, Jedyne dziecię, z którego spodziewałem się mieć pociechę..!

DOROTKA.

To prawda, że wykapały byłby tatulo.

GDYRSKI.

Potrzeba tedy, moia Dorotko, żebyś się na iedney nodze uwineła. Weź pieniądze... i idź co prędzey wykupić go...

DOROTKA.

A niech Bog broni. Jeszczeby mnie zarekrutowali. Sierżant iuż mię był pochwycił. Gdybym się była nie wyślizneła przypadkiem.... Mowią, że nawet rekrutuią dziewczęta.

GDYRSKI.

A to strászna iakaś rewolucya! Szalony lud z swoim rekrutem!

DOROTKA.

Pan Pedancki poszedł do nich upominać się o Jasia. Z częstego margania łaciną, rozumiano go być doktorem, i zaraz pochwycenym został... Ale co tu robić, iutro skoro świt wychodzą.

ARYST.

Trzeba iak nayſpieſzniey kogoś poſłać.

GDYRSKI.

Kogoż u kata znaydziemy, ktoby był beśpieczen od zaciągu, kiedy nawet kobiety idą na rekrut.

DOROTKA, *cicho do Gdyrſkiego.*

Proś WPan ſwego brata, niech on ſię tego podeymie.

GDYRSKI.

Kogo? iego?

DOROTKA.

Zapewne. Nie będzie w tym żadnego dlań niebeſpieczeńſtwa. Gdzie ludzie umieraią, tam ſię nie kłucą: więc i patronow zapewne nie potrzebuią.

GDYRSKI.

Obeſzłoby ſię bez nich i między żyiącemi. (*do Aryſta.*) Oto podź WPan, panie bracie, i zaco bądź, to bądź...

ARYST.

Bardzo dobrze. Nie będę żałował niczego, i przyprowadzę mu Jaſia.

DOROTKA.

Możeſz ieſzcze WPan zaſtać tego kapitana u iego ſtryia Pana Staruſzkiewicza.

GDYRSKI.

Co ty mowiſz? Ten kapitan ieſt onym ſynowcem Staruſzkiewicza, o ktorym często bardzo przed nami wſpominał?

DOROTKA.

Ten ſam. Poſzedł do niego na pożegnanie. Rozumiem, że ieſzcze tam ieſt.

ARYST.

Biegnę co prędzey, aby ſię z nim nie rozminąć. Bez tegoć to nie daleko. Za moment powracam. Do zobaczenia, bracie.

SCENA VIII.

GDYRSKI, DOROTKA.

DOROTKA.

Boię ſię mocno, żeby mu czaſem nie odmowiono.

GDYRSKI.

Idźże ty... Za pieniądze, kto czego odmawia?

DOROTKA.

Ten kapitan wielki ieſt, ſłyſzałam, bogacz, i znać to po iego ekwipażu. Ma mieć znacznych kilka ſtaroſtw na pograniczu.

GDYRSKI.

To nie co inszego.. tylko, że całe piekło wzburzyło się dziś na mnie.

DOROTKA.

(*na stronie.*) Jeszcze nie całe, poczekay troche. (*głośno.*) Jak mi żal tego chłopczyny.

GDYRSKI.

Kaci nadali... Gdyby tu ieszcze był ten Pan chory, do którego mam iutro iechać, szukałbym iego protekcyi, i pokazałbym temu napastnikowi... Coż to znowu za żołnierz?

SCENA IX.

MARCIN, *po żołniersku, z trzciną na znak Unterofficierstwa.*

GDYRSKI, DOROTKA.

DOROTKA.

Ah! Mości Dobrodzieiu. Wszak to sierżant z chorągwi tego kapitana.

GDYRSKI.

Może też mi przyprowadza Jasia.

MARCIN.

Jasia? nic z tego.

GDYRSKI, drżąc. (cicho.)

Wszak to podobno ten niecnota tańcmistrz.

DOROTKA, przypatrzywszy mu się.

Prawda, ten sam... Zrazu nie poznałam go.

MARCIN.

Tak, Mości doktorze... Już teraz nie Prysidkiewicz, ale iestem Grzmotowski do usług iego. Ofiarowano mi Unteroffieyerstwo. Przyiąłem ie. Do nich należy wiedzieć, ieżelim go wart.

GDYRSKI, na stronie.

Zeby cię pierwsza kula nie mineła za moy kontradans.

MARCIN.

Przepraszam Jegomości, żem go troche inkommodował.

GDYRSKI, na stronie.

Na złamanie szyi, drabie przeklęty.

MARCIN.

Z tym wszystkim, ieżeli WPan chcesz ze mnie iakiey satysfakcyi, mogę czasem zachorować, będziesz ią miał w swoiey mocy.

GDYRSKI.

Mospanie Prysidkiewiczu, czy Piorunowiczu, czy Grzmotowiczu. *salvis titulis & ho-*

noribus, o iedną cię proszę łaskę, idź z li-
chem i nie leź mi w oczy.

MARCIN.

Wyidę zaraz, skoro mu opowiem przyczy-
nę moiey wizyty. Moy kapitan ostrzega W.
Pana, ażebyś się wybrał iutro iak nayra-
niey.

GDYRSKI.

Coż to się znaczy?

MARCIN.

To się znaczy, żebyś WPan na czwartą
godzinę z rana był gotow w podróż.

GDYRSKI.

Kto, ia?

MARCIN.

Tak iest, tak.

DOROTKA.

Chyba się WPan mylisz, i Jegomości za
kogo innego bierzesz..

MARCIN.

Nie, moia śliczna... Wszak Jegomość iest
doktor Gdyrski. Wszak Jegomość przyrzekł
to posłańcowi moiego kapitana, który tu
był nie dawno?

DOROTKA.

Mylisz się WPan. Jegomość nie obiecał
nikomu innemu iechać iutro rano, tylko ie-
dnemu kapelanowi.

MARCIN.

To, to, to. Wszak to kapelan naszego regimentu.

GDYRSKI, zląkłszy się.

Zginołem!

DOROTKA.

Ale to do iednego chorego na wsi Pana, Jegomość miał iechać.

MARCIN.

Tak też iest właśnie. Ta wieś będzie na pograniczu blisko dzikich pol, a ten chory Pan iest szef naszego regimentu.

GDYRSKI.

Przebog! co ia zrobiłem!

MARCIN.

Będziesz WPan Regiment-Doktorem, na moie słowo.

DOROTKA.

Czy WPan Dobr: masz iechać aż w dzikie pola?

GDYRSKI.

Kat wie, co tu teraz robić.

MARCIN.

Zapewne, że poiedzie. Przyrzekł to memu kapitanowi na piśmie; musi stawić się w słowie.

GDYRSKI, w zapalczywości.

Już też daley wycierpieć nie mogę. Podźże napaśniku, powiedz twoiemu Kapitanowi,

twoiemu Szefowi, wſzyſtkim Dziko-Polanom, wſzyſtkim zapowietrzonym i umarłym, niech nie zadzieraią z doktorem, i niech lekce nie ważą gniewu iego.

MARCIN.

Moſpanie, ieſteś WPan człowiek uczciwy. Dawſzy ſłowo, że poiedzieſz, muſiſz iechać.

GDYRSKI.

Tak, tak, urwiſzu, poydę zbiorę wſzyſtkich doktorow.

MARCIN.

A ia moich kamratow. Zobaczemy kto więcey wſkura.

GDYRSKI.

Ta rzecz powinna intereſſować wſzyſtkich moich wſpoł-braci.

MARCIN.

Jeśli łaſka, proſiemy ieſzcze zamowić kilku. Bez tego tu was ieſt wiele, a po Prowincyach nic zgoła.

SCENA X.

ARYST, GDYRSKI, MARCIN, DOROTKA.

ARYST.

ZADNĄ miarą nie chcą oddać Jaśia.

DOROTKA.

A? co tam Jaś!.. Jest tu teraz o czymśiś ważnieyszym pomyśleć. Jegomość także ma iechać z regimentem.

ARYST.

Moy brat? a to dla czego?

DOROTKA.

Sam się obowiązał. Zdradzono go szkaradnie. Wszak WPan byłeś przy tym, kiedy ten xiądz kapelan....

ARYST.

Już się domyślam. Ah! co za czarna zdrada! co za szalbierstwo!

MARCIN.

Zartuiesz sobie WPan. Zobaczycie, iaką u nas Jegomość zrobi fortunę. Tam to doktorom żyć, gdzie się ieszcze na nich nie zewszystkim poznali.

GDYRSKI, na stronie.

Zeby cię zabito, straszniku.

MARCIN.

Czy może być lepszy kray dla doktorow!

GDYRSKI.

Łotr przeklęty!

MARCIN.

Jakie tam zioła! iakie *species*! Wszak wiecie WPaństwo: naypięknieysze konie i woły ztamtąd wychodzą. Jest to skutek paszy, i zdrowego żyru łąk tamteyszych.

GDYRSKI.

A iuż też mi cierpliwości nie staie. Jako! ty hultaiu śmiesz porownywać woły i konie do ludzi? Czy nie zechcesz mnie daley zrobić konowałem, albo rzeźnikiem?

MARCIN.

Sine pasione, Mospanie. Nie szarp się. Jutro rano naydaley o piątey godziny, masz być u mego kapitana, albo nie chybi trzydzieści ludzi na exekucyą. (*wychodzi.*)

DOROTKA.

Zdaie mi się, że tu iest iakaś zdrada. Poydę zaraz, i muszę wszystkiego dociec knąć.

SCENA XI.

GDYRSKI, ARYST.

ARYST.

OTOż widziſz, moy bracie, iak drogo przypłaciſz ſwoich chimer. Policzek dany Jaſiowi ięſt przyczyną wſzyſtkiego. Chłopiec na złość WPanu przyſtał do żołnierzy, i takiego ci wypłatał figla, że ſię nie łatwo pozbędzieſz kłopotu. Nie ſto razy mowiłem i perſwadowałem WPanu: *moy bracie! te chimery, te uſtawiczne gderanie........*

GDYRSKI.

Daley, daley, gaday: tu idzie teraz o wyſzukanie ſpoſobow, żeby mnie i Jaſia nie wzięto z regimentem, a iego napada ſwędzenie ięzyka i niewczeſne a razem głupie morały. Zebyś iuż nareſzcie oniemiał, przemierzły paplaczu.

ARYST.

Przynaymniey ia tam żadnego nie widzę śrzodku, gdzie pieniądze nic dokazać nie mogą. Na złe zdeſperowane oſtatnie ieſt lekarſtwo cierpliwość. Z tym wſzyſtkim, rozum i roſtropność zdaie ſię tak radzić, aby....

GDYRSKI.

Dla Boga, co za człowiek! A wieſzże ty, Panie bracie o tym, że wolałbym raczey

ſto razy poyść nie tylko ku dzikim połom z regimentem, ale nawet z Tatarami do Krymu, do Aſtrachanu, i choćby daley, niżeli ſłuchać twoiego niewczeſnego mędrkowania. Nie ſłuſznież cię kiedyś ſtrofowano na ſądach.? Dwie godziny i więcey w indukcie gadałeś o dawnych Babilończykach, a konkluzyą położyłeś, żeby ieden drugiemu ukradzioną oddał kozę. Zapalczywość mnie zrywa kiedy widzę.....

SCENA XII.

LEANDER, GDYRSKI, ARYST.

LEANDER.

MOy oycze, doſzedłem poſtępku, który pod WPanem Dobro: uczyniono. Bylebyś chciał, ani Jaś ani WPan Dobro: nie poydziecie z regimentem; a nie będzie to nas i ſzeląga koſztować. Pan Staruſzkiewicz wſzyſtkiemu ieſt przyczyną.

ARYST.

Pan Staruſzkiewicz?

LEANDER.

Tak Staruſzkiewicz. Na nieſzczęście! ten kapelan ieſt bliſki iego krewny....

GDYRSKI.

Wiem, wiem, ieſt to iego ſtryi. Kończ daley....

LEANDER.

Otoż on poſzedł użalić ſię przed ſwoim ſynowcem, żeś mu WPan Dobro: nie dotrzymał ſłowa, mieniąc to naywiękſzą być zniewagą dla człowieka ſzlachetnie urodzonego, proſić go o corkę, potym ią porzucić.

GDYRSKI.

Opętany trup!

ARYST.

Wiedział on, co mowił, gdy mowił, że ſię pomści.

LEANDER.

Ten kapitan zaprzyſiągł ſię uprowadzić WPana Dobro: wraz z Jaſiem, ieśli nie ożeniſz ſię z Klaryſſą.

GDYRSKI.

Zebym ia miał ſię żenić z tanecznicą; wolałbym ſię do nieſzczęścia.....

LEANDER.

Poydę mu więc odpowiem, że nic z tego nie będzie.

ARYST.

Poczekay no, Panie ſynowcze kwoli dogodzeniu wſzyſtkim, weźmy w tey mierze

śrzodek. Dla nich będzie rzecz oboiętna ktokolwiek z was poymie Klaryssę.

LEANDER.

Ah! Mości stryiaszku. Już rozumiem WPana Dobrodzieia. Niby to ia mam wyręczać moiego oyca?. Nie mogę. Mam iuż moie obowiązki dla Panny Elizy Receptowny.

GDYRSKI.

Co! hultaiu! Elizy! corki tego doktora, ktòry zawsze w brew moim idzie zdaniom?

LEANDER.

Moy stryiaszku Dobrò: proszę cię..... Zmiłuy się moy oycze. Zadną miarą na to przystać nie mogę....

GDYRSKI.

Milcz, ia ci każę. Chocbyś miał pęknąć, musisz wziąść Klaryssę, kiedy na tym zależy moie uwolnienie i spokoyność.

LEANDER.

Bądź co chce! nie uczynię tego, i wolę, niech mię zaraz wiezą ku dzikim polom.

GDYRSKI.

Nie nie; musisz się żenić z Klaryssą.

SCENA XIII.

DOROTKA, GDYRSKI, LEANDER, ARYST.

DOROTKA, przychodząc.

NIECH wreszcie wszystko kat bierze. (*do Gdyrskiego.*) Dziękuię WPanu Dobrze za służbę. Proszę mnie odprawić.

GDYRSKI.

A to dla czego?

DOROTKA.

Nie myślę więcey służyć Pannie, ktôra od rozumu odchodzi.

GDYRSKI.

Coż ona zrobiła?

DOROTKA.

Alboż Jegomość nic Panu nie mowił?

ARYST.

Prosiła mnie bardzo o sekret.

DOROTKA.

Odrzucać partyą tak zyskowną, ktôraby nas wyrwała razem z tego kłopotu i utrapienia!

GDYRSKI.

Jaką partyą?

DOROTKA.

Jaką partyą? Ten ſynowiec Pana Starusz-kiewicza, ten człowiek tyle ſtaroſtw w tak bogatym kraiu poſiadaiący, obligował Jegomosci, żeby WPana Dobro: proſił w zamężcie o Pannę Hortenſyą.

ARYST.

Tak ieſt, moy bracie, prawda, proſił: ale Hortenſya ma iakiś wſtręt od niego, nie zdawałoby mi ſię zatym przymuszać ią.....

DOROTKA.

Wſtręt od człowieka tak bogatego i urodziwego! WPan Dobro: go widziałeś.

GDYRSKI.

Ja go widziałem? kiedy?

DOROTKA.

Nie dawno, w tym ſamym pokoiu. Wszak to on WPana miał radzić ſię w iakimś defekcie.

GDYRSKI.

Kto? ten wyſmukły ſwawian? Mina iego durnieysza ieszcze być zdaie ſię niż Mazepſkiego, ale dla takiey truſi, iak Hortenſya, i nadto ieſt dobry.

ARYST.

ARYST.

Dobrze to ieſt, moy bracie; ale ten człowiek nie ieſt nam wiele znaiomy. Hortenſya zatym ma racyą wzdrygania ſię.

GDYRSKI.

A ia mowię, że Hortenſya ma ſomſry w noſie i upor kobiecy.

DOROTKA.

Nie inaczey. Wiem ia zkąd ten wſtręt pochodzi. Zakochała ſię w Mondorze, ktory tu może nie będzie nigdy.

GDYRSKI.

Niepoczciwa dziewczyna... Widzę, co to ieſt. Wſzyſcy ſię porozumieli na przeciw mnie i Jaſiowi, i chcieliby ſię zapewne co prędzey nas pozbyć... Ale ziedzą licha, nim mnie oſzukaią. Słuchay Dorotko!

DOROTKA.

Słucham.

GDYRSKI.

Zawołay, tu Hortenſyi. Podź także proś do mnie Pana Staruſzkiewicza, Klaryſſy, i tego kapitana. Niech tu z łaſki ſwoiey niebawnie przyidą.

SCENA XIV.

GDYRSKI, ARYST, LEANDER.

GDYRSKI, do Leandra, który udaie, że się chce wymknąć.

NIE, nie, nie; nie uciekniesz mi waszeć. Stoy tu między mną i stryiem, niech cię widzę; i bądź pewien, że, ieśli dobrowolnie nie uczynisz tego, użyię....

LEANDER.

Ah! Mości Dobro: cokolwiek mogę mieć łaski.....

GDYRSKI.

Wybiy sobie z głowy corkę Pana Recepty, raz ci to powiadam.

LEANDER.

Wolno WPanu Dobr: co chcąc czynić; nikt tego nie dokaże, żebym poymował Klaryssę z musu.

GDYRSKI.

Czy z musu, czy z dobrey chęci; będziesz iey mężem.

LEANDER, niby na stronie.

Skaranie Boże!

SCENA XV.

DOROTKA, PATRON, GDYRSKI, ARYST, LEANDER, HORTENSYA.

DOROTKA.

PAN Staruſzkiewicz pozwala na wſzyſtko, ale chory, przyiść nie może. Reſzta kompanii będzie tu za moment.

GDYRSKI, poſtrzegaiąc patrona.

A! zawołałaś także widzę i Pana Faſcykulſkiego. Nayniżſzy, Moſpanie Faſcykulſki.

DOROTKA.

Rozumiałam, że do ſpiſania kontraktow człek prawny nie zawadzi.

GDYRSKI, do Faſcykulſkiego.

Trzeba nam będzie, Moſpanie Faſcykulſki, ſpiſać dwie intercyzy. Żenię mego ſyna Leandra z Panną Klaryſſą Staruſzkiewiczowną.

FASCYKULSKI.

Ta intercyza od wczora iuż ieſt ſpiſana. Skoro ſtrony ſtaną *in loco loci*, podpiſać ie tylko będzie potrzeba *manibus propriis* przy przyciśnieniu rodowitych pieczęci.

LEANDER.

Ah! Mości Dobro: chciey mnie posłuchać i raczey sam się żeń z Klaryssą.

HORTENSYA.

Tak iest, kochany oycze, ożeń się z nią W. Pan Dobro: a mnie nie wydaway za tego kapitana.

GDYRSKI.

A coż to za krnąbrne i uparte dzieci. Ja ich, a oni mnie chcą żenić.

FASCYKULSKI.

Za pozwoleniem, głos zabieram. Pisze Słońſki *in accessioriis juris*, że w przypadku takowym, wola rodzicow ma być przeniesiona nad wolą dzieci. *qua minorennium*. Tak też mowi iedne oraculum dawne. *Consilia senum, arma juvenum*. Taki iest nasz styl.

GDYRSKI.

To styl przedziwny i rozsądny. Ażeby tedy wszystko było gotowo, nim drudzy nadeydą, ponieważ wydaię moią corkę za pewnego ... Jakże się nazywa?

DOROTKA.

Zaraz, zaraz ia podyktuię Jegomości. (*do Gdyrskiego.*) Nie słuchay WPan dzieci i uprzyi się przy swoim (*dyktuie patronowi.*) Starostę, Generała.

FASCYKULSKI.

Ra ła.

DOROTKA.

Grodow wielu.

FASCYKULSKI.

Wielu.

DOROTKA.

Swerdońſkiego, Tałabańſkiego, Czuhayſkiego, i tam dali, i tam dali.

FASCYKULSKI.

Y tam daley *& cætera, & cætera.*

GDYRSKI.

Słyſzyſz ty, nie baczna! iaka to partya?

HORTENSYA; krzywiąc ſię.

Czyż można, Mości Dobrodzieiu, żebym ſzła za człowieka, ktòry mnie aż w dzikie pola zawiezie.

DOROTKA.

Zaniechałabyś WPanna tego. Wieleż to ieſt żon, ktòre ſwoich mężow wyprowadzaią w pole.... Już tedy ſą intercyzy, idą i naſi.

SCENA *ostatnia.*

FASCYKULSKI, *w głębi Teatru.* KLARYSSA, ŁEANDER, ARYST, *po prawey.* GDYRSKI, *w pośrzodku.* MONDOR, HORTENSYA, DOROTKA, JAS, i PEDANCKI, *po lewey stronie.*

MONDOR.

NA upewnienie, ktòre mi imieniem W. Pana Dobrodzieia uczyniono, przyprowadzam mu syna iego.

GDYRSKI.

Nie godziło się iednak tak ze mną postąpić...... Ale potym o tym. Gdzież iest moie pismo, ktòrym, chociaż *prevaricatorie* obowiązałem się WPanu.

MONDOR.

Proszę nayprzod podpisać intercyzy, dopiero pismo to oddam.

GDYRSKI.

No, niechże i tak, podpisuymy.

PEDANCKI.

Mości Dobrodzieiu, mowi Seneka o cierpliwości.....

GDYRSKI.

W dzikie pola, w dzikie pola z swoim Seneką, idźcie tam moralizować.

JAS.

Moy tatulu Dobrodzieiu, niechże ia iadę z Panem kapitanem.

GDYRSKI.

Cicho bębnie, nie mam czasu z tobą gadać. Day mi WPan te intercyzy, niech ie podpiszę. (*podpisuie.*)

LEANDER.

Przynaymniey, że ia oświadczam się.....

GDYRSKI.

Zaraz mi się podpisuy. (*podpisuie się.*)

HORTENSYA.

To żadną miarą być nie może...

GDYRSKI.

Żadną miarą nie ustąpię tego. Coż to? nie iestem twoy ociec, że mnie słuchać nie chcesz? (*podpisuie ona i Klaryssa.*)

FASCYKULSKI.

Teraz się ma podpisać Jmć Pan. (*tu zwolna mowi, a tym czasem Mondor podpisuie się*)... Mondor.

MONDOR, *podpisawszy się.*

Otoż iuż.

GDYRSKI.

Mondor!. Coż to się znaczy.

DOROTKA.

Znaczy się, że to iest Pan Mondor. On to z mego rozkazu, zarekrutował i WPana i Jasia. Ja to nadawałam mu tyle starostw. Nie ma ich wprawdzie, ale wszelako iest dobrze maiętny, dobrze urodzony, i dobrze rządny. Składa teraz wszystkie te tytuły, przestaie na rodowitym nazwisku Mondora, a zechce zasłużyć z czasem na imie zięcia wdzięcznego i szanuiącego WPana.

GDYRSKI.

A! dla Boga! co słyszę! Ty to, niecnoto, taką wyrządziłaś mi psotę. (*do Hortensyi.*) Corko wyrodna! corko swawolna!... Ah! zginąłem....

DOROTKA.

Dopełniła tylko woli oycowskiey. Wczora chciałeś ią WPan wydać za Mondora, dzisiay iest iego żoną. O co się tu gniewać.

MONDOR.

Honor spowinnowacenia się, miłość i wdzięczność.....

GDYRSKI.

Ta, ra, ra, ra, ra. Miłość, wdzięczność, ſpowinowacenie ſię, żeby was piorun zabił Ah! zdradzony, oſzukany ieſtem zewſząd od tych bezbożnych wyrodkow, ſług nie poczciwych, złośliwych ſąſiadow...... Poczekay, poczekay, ſzubienica, miecz katowſki, nayſroźſze tortury i exekucye..

FASCYKULSKI.

Moſpanie nie ieſt to *crimen*. Rzecz ta ſtała ſię *cum omni requiſita forma juris*, za dobrowolnym ſtron wſzyſtkich zezwoleniem, i utrzymać ſię muſi.

GDYRSKI, *ſzarpiąc ſię za włoſy.*

Czy i ty formularzu juris, iuż ieſteś z niemi? ſzubienica, ſzubienica.

ARYST, *śmieiąc ſię.*

Moy bracie, gdybyś był nie taki chimeryk, innych z tobą użylibyśmy byli śrzodkow.

GDYRSKI.

Poczekaycie, poczekaycie. Nie ieden mi tego przypłaci życiem. (*wypada za Teatrum.*)

DOROTKA.

Zapewne nie ieden pacient. Poydźmy się cieszyć. Gdyracz ze złości niech dostanie żołtaczki; uleczy go doktor.

KO-
NIEC.